M. B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: LUCJUSZ WŁODKOWSKI ***Małżeństwo niedoskonałe*** ● WŁADYSŁAW ORŁOWSKI ***„Czajka" i nowe formy*** ● EUGENIUSZ IWANICKI ***Jak Funio zawędrował do nieba*** ● ADAM OCHOCKI ***Brat Kiepury*** ● ***Zewsząd o wszystkim*** ● ***Nowela kryminalna***

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

12 (696)
21. III. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

KONRAD FREJDLICH

Czy umiemy myśleć politycznie?

1

Są okresy, kiedy wraca się do pytań najpierwszych. Gdzie jesteśmy? I dokąd idziemy? Zwłaszcza, że historia, nawet ta najnowsza, nie oszczędza nam wstrząsów wyposażając nas w dotkliwy bagaż doświadczeń. A fala namiętności, jakie się wówczas wyzwalają, niejednokrotnie zamazuje perspektywę. Trudno się więc dziwić rozgorączkowaniu umysłów i rozpaleniu serc wobec wydarzeń, które w tragiczne dni grudniowe przewaliły się przez nasze Wybrzeże. Dramat ten musiał głęboko przejąć każdego uczciwego człowieka.

Ale teraz, gdy przezwyciężyliśmy groźne przesilenie polityczne, gdy jednocześnie usunięta została bezpośrednia przyczyna niepokojów i napięć społecznych: drastyczna podwyżka cen artykułów pierwszej potrzeby, nastał czas, kiedy trzeba zapanować nad odruchami i zaufać raczej głębszej refleksji. Zresztą nie wystarczy już , po pięknoduchowsku, zadawać pytania. Ważniejsze są odpowiedzi.

Pierwszej, najważniejszej odpowiedzi udzieliła Partia na VIII Plenum, podejmując decyzje o zmianie stylu sprawowania władzy i kreśląc jasny, liczący się z realiami, program odnowy. Padły słowa, na które wszyscy czekali, słowa nie rozmijające się z czynami. Były te decyzje kolejnym ogniwem ogólnonarodowego dialogu zapoczątkowanego nocnymi rozmowami kierownictwa partii i rządu z robotnikami Wybrzeża i kontynuowanego poprzez spotkania z włókniarkami łódzkimi, na najbardziej zagrożonych odcinkach. Nic też dziwnego, że ta nowa praktyka polityczna, zyskała społeczną aprobatę i rozbudziła jednoznaczne zaufanie wszystkich pracujących do ekipy kierowniczej, której w przeciągu kilku tygodni udało się coś więcej niż tylko przywrócenie dawnych cen. Przywrócono bowiem jednocześnie wiarę w sens naszych codziennych poczynań, w wartość naszej pracy a także w godność ludzką wrzuconą, w okresie poprzedzającym dramatyczne grudniowe wydarzenia, do lamusa rzeczy zbędnych czy zgoła niepożądanych. I jeśli ten sposób postępowania stanie się reguła, od której nie ma wyjątków, jeśli przeniknie on do wszystkich ogniw władzy i utrwali się jako niewzruszalny kanon rozwiązywania najtrudniejszych problemów, to nigdy już nie zagrozi nam niebezpieczeństwo równie groźnych, co te grudniowe, napięć

Dalszy ciąg na str. 3

INDIE, kraj odgrywający dużą rolę w polityce światowej, znalazły się w ostatnich dniach w centrum zainteresowania. Sprawiły to wybory do Izby Niższej parlamentu i sukces, jaki odniosła w nich kierowana przez Indirę Gandhi Partia Kongresowa. Pod hasłami „socjalistycznej i laickiej polityki i programów" zdobyła ona absolutną większość w parlamencie, co nie było zadaniem łatwym, zważywszy, że przeciwko programowi umiarkowanych reform i zwalczania nędzy zblokowała się cała prawica.

Przed dwoma laty Partia Kongresowa, licząca ok. 11 mln członków, przeżyła groźny wstrząs. Prawica partii doprowadziła do rozłamu, którego następstwem było również wystąpienie 63 posłów i utrata większości w parlamencie. W tej sytuacji Indira Gandhi przyśpieszyła wybory o 14 miesięcy, oddzielając je od wyborów do zgromadzeń prowincjonalnych. Zdecydowała tym samym o szerokiej konfrontacji i próbie sił z prawicą, z których wyszła zwycięsko. Nie jest nawet wykluczone, że w 581-osobowej izbie Partia Kongresowa zdobyła 2/3 głosów, co pozwoliłoby na przeprowadzenie reform społecznych.

Tuż po zwycięstwie Indira Gandhi oświadczyła, że jej celem jest przede wszystkim zwalczenie bezrobocia i zahamowanie wzrostu cen, likwidacja slumsów oraz zapewnienie świadczeń społecznych dla 550-milionowej ludności Indii. Jeszcze pod koniec bieżącego miesiąca przedstawiony zostanie parlamentowi projekt budżetu, który kosztem uprzywilejowanych maharadżów przeznaczyć ma znaczne środki na zwiększenie inwestycji publicznych i ograniczenie bezrobocia. Zdziesiątkowana opozycja prawicowa nie znajdzie już sił, aby temu się przeciwstawić.

Zwycięstwo wyborcze Indiry Gandhi, osiągnięte przede wszystkim kosztem prawicy, ale w pewnym stopniu także sił lewicowych, podzielonych i skłóconych, jak przewidują komentatorzy, będzie równoznaczne ze „wskrzeszeniem nehruizmu" w sferze ideologicznej i społecznej. Cały pięcioletni okres kadencji z pewnością zostanie więc wykorzystany dla zintegrowania społeczeństwa, rozbitego językowo, etnicznie, religijnie i kastowo, dla przeprowadzenia niezbędnych reform.

Na sukces wyborczy Indiry Gandhi i jej partii trzeba wreszcie spojrzeć pod jeszcze jednym kątem — polityki zagranicznej. Należy oczekiwać zaktywizowania tej polityki z pozycji neutralnej i antyimperialistycznej. Indie mają zbyt duży udział we wspólnym losie świata — pisał komentator „International Herald Tribune" — aby tego nie doceniać. W pełni trzeba podzielić tę opinię.

* * *

Problem rozbrojenia — to jeden z najważniejszych w naszej dobie. O jego rozmiarach świadczy fakt, że na zbrojenia wydaje się już rocznie niemal 200 mld dolarów. Jak twierdzą eksperci, obecnie nagromadzone zapasy broni nuklearnej co najmniej 10 razy byłyby w stanie unicestwić całą ludzkość, a przeliczeniowo ich siła równa się 15 tonom trotylu na głowę ludności. Wydatki, związane ze zbrojeniami, wnoszą dokładnie tyle, ile dochód narodowy wszystkich krajów rozwijających się.

Dlatego też zagadnienie zahamowania wyścigu zbrojeń jest od lat w centrum uwagi. 14 marca 1962 roku powołano do życia komisję rozbrojeniową, która właśnie odbyła swe pięćsetne posiedzenie. Niestety, rozmowy genewskie nie przyniosły żadnego widocznego rezultatu, chociaż nie można negować ich wpływu na te nieliczne porozumienia, jakie w ciągu ostatnich 9 lat zostały zawarte. Jubileuszowe posiedzenie każe zastanowić się, czy rzeczywiście nie można wyjść z zaklętego kręgu zbrojeń. Mówiono o tym w czasie genewskich obrad, podkreślając, że dotychczasowa dyskusja miała zbyt teoretyczny charakter. Dlaczego? O odpowiedź nietrudno. Nie wszyscy członkowie komisji rozbrojeniowej wykazują dobrą wolę i gotowość praktycznych rozwiązań, uciekają więc w sferę teorii. A świat w tym czasie podąża nadal zgubną drogą rosnących wciąż zbrojeń.

* * *

W niedzielę w Berlinie zachodnim odbyły się wybory do Izby Deputowanych i 12 okręgowych zgromadzeń, w których wyłoniono reprezentację mieszkańców na 4 lata. O głosy wyborców ubiegało się kilka partii, a wśród nich: SPD, CDU, FDP. Wyników, w chwili oddawania komentarza do druku, jeszcze nie znamy. Czy odzwierciedlą one pewną radykalizację, jaką w tym mieście można zaobserwować?

Sytuacja Berlina zachodniego jest szczególna. Nie jest on jednym z krajów NRF, ma oddzielny status, chociaż władze bońskie chętnie lokują tu swe przedstawicielstwa. Aktualnie doliczyć się można ponad 50 placówek rządowych — filii Bonn. Teren miasta częstokroć wykorzystywany jest do imprez rewizjonistycznych. Tutaj mieści się wiele ośrodków wywiadu i dywersji. Z tego między innymi względu Berlin zachodni określany jest jako miasto frontowe, czy też „najtańsza bomba atomowa". Był on powodem wielu napięć międzynarodowych. Od kilku miesięcy o Berlinie zachodnim pisze się przede wszystkim jako o przedmiocie rozmów czteromocarstwowych. Podejmowane w nich są najbardziej podstawowe problemy tego szczególnego miasta.

Datę wyborów poprzedziło ważne wydarzenie — rozpoczęcie w dniu 6 marca rozmów między przedstawicielami rządu NRD i senatu zachodnioberlińskiego na temat przepustek dla mieszkańców zachodniej części miasta do stolicy NRD.

W. SŁAWSKI

Nastroje w południowo-wschodniej Azji

„JAPAN QUARTERLY" — TOKIO

W krajach południowo-wschodniej Azji dokonują się istotne zmiany w nastrojach politycznych. Wygląda na to, że położono kres prześladowaniom chińskich emigrantów. Z drugiej strony, coraz częściej spogląda się tam na Japonię nie z nadzieją jednak, lecz z podejrzliwością i lękiem.

Za normalizacją stosunków z Chinami opowiadają się nie tylko przywódcy Malajzji, Singapuru, Filipin i Indonezji, ale również działacze polityczni w Indochinach, którzy popierają USA w toczącej się wojnie. Warto zwrócić uwagę, iż reżim Lon Nola, który w drodze przewrotu uchwycił władzę w Kambodży, odniósł się do chińskiej mniejszości w tym kraju z maksymalną uprzejmością.

Analizując podobne tendencje, ujawniające się w południowo-wschodniej Azji, należy przede wszystkim uwzględnić wewnętrznopolityczne napięcie, słabość ekonomiczną krajów tego rejonu, częste wystąpienia antyrządowe i rosnące niezadowolenie ludności. Syjam, Malajzja, Indonezja i Filipiny kierują dziś wszystkie wysiłki na polepszenie swojej sytuacji ekonomicznej.

Rozwiązanie tych problemów zależy w dużym stopniu od tego, czy uda się rządom krajów południowo-wschodniej Azji zdobyć poparcie 15—20 milionów Chińczyków, którzy zamieszkują ten rejon i odgrywają znaczną rolę w dziedzinie ekonomiki. Jedna z przeszkód tkwi w tym, iż przywódcy tych krajów, występując za przyjęciem Chin do ONZ, jednocześnie nie mogą się zdecydować na usunięcie stamtąd czangkaiszekowców. Dlatego też należy wątpić, aby Pekin, który — sądząc po nawiązaniu stosunków z członkami NATO: Włochami i Kanadą — wkroczył w nową fazę dyplomacji, od razu zaniechał popierania ruchów narodowowyzwoleńczych w południowo-wschodniej Azji.

Co więcej, nie ulega wątpliwości, iż w najbliższych latach między Chinami i jego południowymi sąsiadami dojdzie do wzajemnego zrozumienia, a to niewątpliwie ugodzi w pozycję Japonii w tym rejonie świata.

Jeszcze całkiem niedawno do Japonii odnoszono się tutaj przyjaźnie. Jednakże stosunek ten uległ zmianie od czasu, gdy wysunęła się ona na trzecie miejsce w świecie pod względem produkcji globalnej. Ten moment zwrotu w nastrojach można nawet określić bardziej precyzyjnie: nastąpił on po tym, jak japońskie okręty wojenne przybyły tutaj z „wizytą dobrej woli" i kiedy Tokio zabrało się „już zawczasu do mierzenia głębokości Cieśniny Malakka".

Zaczęły się rozlegać protesty przeciwko restauracji japońskiego militaryzmu. Obawy te nie są płonne. Oto w 1969 roku, w japońsko-amerykańskim komunikacie o rozmowach w sprawie zwrotu Okinawy, podkreśla się również wagę stworzenia pewnego „systemu ścisłego współdziałania" Japonii, Południowej Korei i Tajwanu. Tokio dolało oliwy do ognia, uczestnicząc w konferencji w Dżakarcie w sprawie Kambodży oraz zobowiązując się do „okazania pomocy Indochinom". Oprócz tego Japonia złożyła oświadczenie o dalszej rozbudowie sił zbrojnych.

Nacisk japońskiego biznesu na ekonomikę krajów południowo-wschodniej Azji także wzmaga podejrzliwość. Syjam jest rozdrażniony, że nie udaje mu się utrzymać równowagi w handlu z Japonią. Niezadowolona jest Indonezja że Japonia patrzy na nią jako na uzupełnienie własnej bazy surowcowej i rynek zbytu. W Malajzji nazywają Tokio „lichwiarzem".

Gazety południowo-wschodniej Azji, które jeszcze wczoraj w życzliwym tonie naświetlały ekonomiczny rozwój Japonii, piszą dziś o niej z niepokojem, jako o mocarstwie, które dąży do odegrania coraz większej roli politycznej i wojskowej w życiu tego ogromnego rejonu geograficznego.

„Japonia zamierza dwukrotnie zwiększyć swój budżet wojskowy"... „Japonia rozważa problem broni jądrowej"... Nie zdarzało się nigdy przedtem, aby podobnym doniesieniom poświęcano aż dwie trzecie wszystkich depesz, zamieszczanych w czołowych pismach Malajzji i Singapuru. Wystarczy, żeby któryś z japońskich finansistów wystąpił z sugestią stworzenia unii wojskowej w Azji i basenie Oceanu Spokojnego, a już pisze się o tym w miejscowej prasie.

Obawy przed odradzaniem się militaryzmu japońskiego ogarnęły całą Azję. Jeśli Japonia, która w czasie ostatniej wojny sprowadziła niezliczone nieszczęścia na ludność tych krajów, chce, aby traktować ją inaczej, musi szczerze i niezwłocznie wkroczyć na drogę pokojowej współpracy z krajami południowo-wschodniej Azji.

Kahane vel King

„DAILY WORLD" — NOWY JORK

Czy Meir Kahane vel Makly King jest na służbie Centralnej Agencji Wywiadowczej? Czy jego szeroko reklamowana „liga obrony Żydów" nie została przypadkiem wydumana w pewnym zacisznym waszyngtońskim gabinecie?

Istnieją niezbite dowody, że „liga obrony Żydów" została nakręcona przez CIA jako przydatny instrument w kampanii antyradzieckiej tudzież do walki z ruchem przeciwko wojnie wietnamskiej, ogarniającym coraz szersze kręgi społeczeństwa amerykańskiego.

Rozkaz Kahane o czasowym przerwaniu chuligańskiej akcji prześladowań pracowników radzieckich instytucji w Stanach Zjednoczonych i radzieckich artystów jest następstwem ogólnej dezaprobaty niemal wszystkich organizacji żydowskich, w czym niepoślednią rolę odgrywa również opinia władz USA, iż działalność „ligi" jest coraz bardziej „nieproduktywna".

Na łamy prasy zaczęły się przesączać liczne fakty, dotyczące przeszłości Kahane vel Kinga. Duża ich część pochodzi ze źródeł żydowskich. Kahane, pod nazwiskiem Makly Kinga, współpracował swego czasu z niejakim Josefem Tsherba, zatrudnionym obecnie w charakterze specjalisty do spraw Środkowego Wschodu w wojskowej bazie lotniczej Maxwell w Montgomery, stan Alabama. Bliższą współpracę rozpoczęli obaj panowie w Nowym Jorku w roku 1965. Pierwszą ich czynnością było wynajęcie odpowiedniego lokalu, a następnie zorganizowanie „ruchu" wśród młodzieży akademickiej dla poparcia wojny w Wietnamie.

Szumna reklama miała utwierdzić opinię publiczną w przekonaniu, iż organizacja ma oddziaływać w wielu amerykańskich uniwersytetach. W rzeczywistości, jak przyznaje to obecnie sam Kahane „wszystko to było wierutnym kłamstwem", ponieważ „oprócz mnie i Tsherby nikogo tam więcej nie było"...

Niemniej otrzymywał on subsydia pieniężne z nieznanych źródeł oraz „od związków zawodowych i innych organizacji", jak to określił Tshorba w rozmowie z korespondentom „Timesa".

Idea założenia „ligi obrony Żydów" narodziła się w 1968 roku. Nazwisko: King — poszło w niepamięć. Teraz położono akcent na „rabina Kahane", a sama „liga" okazała się naśladownictwem hitlerowskich bojówek. Na haczyk dała się złapać tylko część otumanionej młodzieży żydowskiej.

Jednakże działalność Kahane została rozreklamowana z ogromnym szumem. Za jego plecami stoją wpływowe siły, które rozpętały kampanię antyradziecką, oskarżając Związek Radziecki o antysemityzm. Za plecami Kahane stoją ludzie, którzy co roku przekazują ogromne sumy na „fundusz pomocy" Izraelowi. Wszyscy oni lansują pogląd, że Izrael powinien dążyć śladami amerykańskiej polityki zagranicznej, że może on liczyć na kupno nieograniczonej ilości broni w USA, jeśli wśród Żydów w Stanach Zjednoczonych uda się pobudzić ruch, popierający wojnę w Wietnamie i amerykańską politykę imperialistyczną w ogóle.

Group Research Reports Incorporated — instytucja, specjalizująca się w badaniu działalności różnych organizacji, podaje, iż w Ameryce nadaje się dziesięć tysięcy audycji antysemickich tygodniowo, obejmujących w sumie dwa i pół tysiąca godzin. W najnowszym informatorze tej instytucji figuruje 4346 nazw ultraprawicowych organizacji działających w USA, w tym także nazwiska osób o poglądach ultraprawicowych. W roku 1962 było ich 2092.

Jak wiadomo, w Moskwie przebywa cała armia dziennikarzy burżuazyjnych gazet, radia i telewizji, którzy zawsze są gotowi do wygrzebania jakiegoś drobiazgu, byle tylko móc rozpętać propagandę antyradziecką. Czy mogą oni wymienić choć jedną organizację, propagującą antysemityzm? Nie ulega wątpliwości, że te jastrzębie imperializmu rzuciłyby się na najmniejszy przejaw antysemityzmu, gdyby tylko taki istniał. Oto dlaczego pozostaje im jedynie fabrykowanie kłamstw, że w ZSRR Żydów „trzyma się w niewoli", jak również rozmyślne pomijanie milczeniem faktu, iż obywatele radzieccy pochodzenia żydowskiego odgrywają istotną rolę w rządzie, nauce, kulturze i ekonomice.

Zgoda z zastrzeżeniem

„FRANKFURTER ALLGEMEINE" — FRANKFURT

Chociaż nie można powiedzieć, żeby w Bonn przygotowania do ogólnoeuropejskiej konferencji bezpieczeństwa i współpracy szły pełną parą, to jednak poczyniono w tym kierunku widoczny postęp. Przy tym nie podlega już dyskusji problem, czy takie spotkanie ma się w ogóle odbyć. Stawia się tylko pytanie: kiedy?

Tymczasem władze federalne starają się wykorzystać obustronne kontakty, aby wyjaśnić swój punkt widzenia w sprawie zwołania takiej konferencji oraz wysłuchać dezyderatów innych krajów.

Na konferencji prasowej, w sierpniu 1970 roku w Bonn, kanclerz federalny podkreślił, że jest przekonany, iż polepszenie stosunków pomiędzy NRF i NRD „wywrze korzystny wpływ na urzeczywistnienie idei ogólnoeuropejskiej konferencji n. t. bezpieczeństwa i współpracy". Dlatego też mówi się w Bonn, że pomyślne uregulowanie kwestii Berlina Zachodniego oznaczałoby właśnie taki postęp i że miałoby wpływ również na inne aspekty stosunków „wewnątrzniemieckich". W każdym razie władze federalne stoją nadal na stanowisku, iż w wypadku negatywnych wyników rokowań w sprawie Berlina Zachodniego, ogólnoeuropejska konferencja w sprawie bezpieczeństwa i współpracy będzie miała nikłe szanse powodzenia.

Przymusowe wagary

„SUNDAY TIMES" — LONDYN

Jest już dawno po feriach świątecznych, a w wielu szkołach brytyjskich nauczyciele nie mogą się doliczyć swoich wychowanków. Przynajmniej 100.000 uczniów opuszcza zajęcia lekcyjne. Nie chodzi tu bynajmniej o to, że dorastające pokolenie nie przejawia chęci do nauki. Wielu spośród niepoprawnych wagarowiczów opuszcza lekcje nie po to, żeby pograć w piłkę, czy pójść do kina. Te dzieci, po prostu, pracują.

Pewien chłopiec nie przyszedł do szkoły, bo usługuje w kafejce, jego kolega z ławy szkolnej stoi przy straganie na rynku, inny sprzedaje na ulicy najświeższe wydanie gazety.

„Wiele moich uczennic pracuje" — mówi nauczycielka z Birmingham — „a przecież nie mają nawet trzynastu lat".

Szkoły nie interesują się przyczynami absencji. 15 procent uczniów opuszcza lekcje i fakt ten staje się już zjawiskiem powszednim. Szczególnie niską frekwencję notuje się w szkołach, znajdujących się w robotniczych dzielnicach wielkich miast brytyjskich. Na przykład w Manchester wynosi ona 75,3 procent. Co więcej, nauczyciele chcąc ułatwić sobie pracę z tzw. „trudną młodzieżą", nierzadko sami zwalniają uczniów z lekcji, żeby tylko nie przeszkadzali innym.

Problem dużej absencji uczniów w średnich szkołach angielskich zaostrzy się jeszcze bardziej w ciągu najbliższych dwu lat, gdy zostanie wprowadzony przymus nauki do 16 roku życia.

— Jeśli już dziś młodzież w wieku 14—15 lat porzuca naukę w szkole dla pracy — mówi nauczyciel szkoły średniej w Cradiff — to jasne, że tym bardziej uczniowie 16-letni będą w większym stopniu zaprzątnięci szukaniem pracy, niż nauka w szkole.

Czy umiemy myśleć politycznie?

Dalszy ciąg ze str. 1

społecznych w przyszłości. Szczera i otwarta rozmowa z narodem jest przecież niejako probierzem ludowładztwa. Jest to właśnie ta szansa i te gwarancje, jakie budownictwu socjalizmu w naszym kraju stwarza nowy styl sprawowania władzy proklamowany przez Edwarda Gierka już w pierwszym, publicznym wystąpieniu przed kamerami telewizji.

2

„Rzecz niezawodna, że Prometeusz rozdając ludom talenta, nie nam ofiarował polityczny rozum".

Przypominam to kategorycznie sformułowane zdanie Aleksandra Świętochowskiego, wybitnego publicysty epoki pozytywizmu, gdyż i dziś jeszcze rozlegają się głosy, niewiele odbiegające od przytoczonej tutaj opinii. Nie wszystkie mają to samo źródło. Niektóre z nich podyktowane są rzeczywistą troską, chociaż zabrakło w nich właśnie kategorii myślenia politycznego. Ale niektóre pochodzą od niedowiarków, zgorzknialców, karierowiczów a często po prostu wrogów, którzy pytają: czy jako naród, jako całość dorośliśmy do nakreślonego na VIII Plenum programu pogrudniowej odnowy?

Ze stwierdzenia Świętochowskiego, ogłoszonego w roku 1876 na łamach „Przeglądu Tygodniowego" przebija gorzkie doświadczenie pokolenia, które urodziło się w niewoli i oglądało na własne oczy klęskę dwóch kolejnych powstań narodowych, listopadowego i styczniowego. Dla tej formacji umysłowej kategoryczne stwierdzenia, ujęte, dla wywołania większego wrażenia, w formę błyskotliwych paradoksów, nie były zresztą paradoksami: były stanem świadomości ówczesnej elity intelektualnej, poczuwającej się do odpowiedzialności za przyszłość kraju.

Byłoby jednak ciekawe prześledzić, jak pewne poglądy czy nawet idee, ukształtowane pod wpływem klęsk, odbywają wędrówkę przez pokolenia i wiją sobie gniazdka w epokach o warunkach i doświadczeniach odmiennych. Bo przecież ten pesymistyczny nurt refleksji społecznej toczył się wcale żywo także w czasach ostatnich, które już sami doskonale ogarniamy pamięcią. Miał on swoich gorących zwolenników, a nawet protektorów. Tolerowany i sztucznie niekiedy pobudzany osiągał też różne stopnie natężenia, aż do zwyrodnienia. Nie tak znów dawno usłyszeliśmy od ludzi przebywających dzisiaj za granicą, że naród polski nie dorósł do sprawowania władzy i że mądrzejsi muszą go w tym wyręczyć. Opinie takie, wypowiadane z uporem, ukształtowały świadomość autokratów rodzimego już chowu.

A przecież, gdy uważnie czyta się Świętochowskiego, znaleźć można i takie zdanie, unieważniające cytat, którym rozpocząłem te rozważania: *„Wyryjmy sobie w duszach jako dogmat głęboką prawdę, którą wypowiedział znakomity myśliciel angielski: Siła jest zawsze w rządzonych, a nie w rządzących".* Zdanie to sformułował Świętochowski 50 lat później.

3

Odpowiedź, która dała klasa robotnicza Edwardowi Gierkowi na pytanie: „Pomożecie?", świadczy najlepiej o tym, że w najtrudniejszych i decydujących chwilach cechuje nas nie tylko patriotyczne, ale także głęboko polityczne myślenie. Spontaniczne świadczenie dodatkowej pracy, zobowiązania i czyny produkcyjne, gorączkowe odrabianie zaległości wywołanych porzuceniem warsztatów są odpowiedzią zdecydowaną i jednoznaczną. Jest to ten głos, głos rozpędzonych maszyn, który w toczącym się ogólnonarodowym dialogu, najpełniej zadecyduje o przyszłości. Zresztą nie brak nam było zawsze i okazji, i ochoty do zrywów, do jednorazowych spontanicznych poświęceń. Ale tym razem chodzi o sprawę znacznie poważniejszą. Chodzi bowiem o to, aby jako równoważnik nowego stylu sprawowania władzy wytworzył się i utrwalił nowy styl świadczenia pracy. Pewnie, zaległości trzeba i należy odrobić, ale jeszcze ważniejsze jest, aby zaległości w ogóle nie powstawały. Trzeba usunąć z naszego języka owe okropne nowotwory w rodzaju potocznie używanego zwrotu: nadganianie planu. Jeśli plany będą uwzględniały realne możliwości zakładów, a zwłaszcza jeśli przestanie wreszcie szwankować organizacja pracy, planów produkcyjnych nie trzeba będzie „nadganiać", będą po prostu wykonywane.

Ale zakasanie rękawów nie jest równoznaczne ze zwolnieniem od myślenia. Myślenie nie jest bowiem przywilejem, jest obowiązkiem każdego, komu zależy na wyprowadzeniu naszego kraju z głębokiego impasu gospodarczego. Nie wystarczy przecież sama gotowość do pracy, trzeba ją jeszcze rozumnie, z największym dla kraju pożytkiem zużytkować. Toteż we wszystkich działaniach musi nam towarzyszyć świadomość zwiększonej odpowiedzialności za całokształt programu odnowy.

4

Jest to tym ważniejsze, że nie brak u nas ludzi, na odpowiedzialnych niekiedy stanowiskach, którzy odwykli od myślenia. Potrafią być na swój sposób ofiarni, ludzcy (czasem tylko układni), ale najlepiej czują się, kiedy nie muszą podejmować jakiejkolwiek decyzji. Tych ludzi, o poważnym często doświadczeniu zawodowym i społecznym, trzeba reedukować i wykorzystać. Bo program nakreślony przez VIII Plenum jest w swojej istocie programem rzeczywistego zaangażowania i wyzwalania inicjatywy. I z nikogo nie wolno nam zrezygnować. Niedowiarków musimy przekonać, karierowiczów zdemaskować, wrogów rozbroić. Z tym jednak, że sprawy mniejsze nie mogą nam przesłaniać spraw większych.

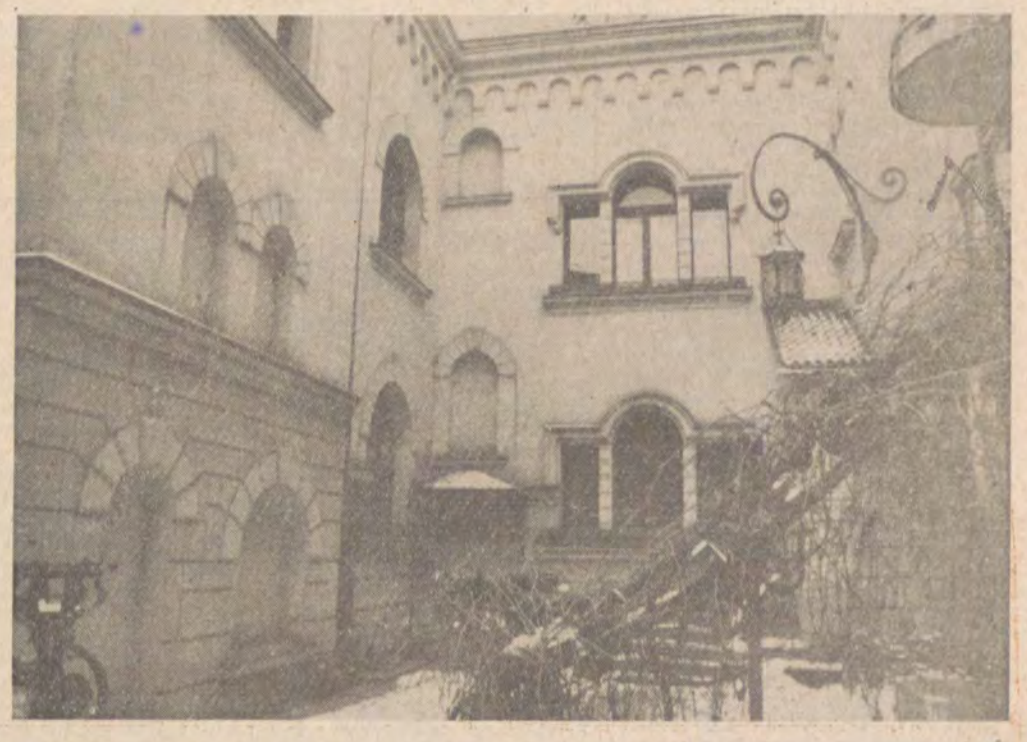

Przypomina mi się w związku z tym stary, konfucjański dialog, zapisany 2500 lat temu. Oto na pytanie, od czego zacząłby rządy w państwie, gdyby powierzono mu władzę, Konfucjusz odpowiedział: *„Najkonieczniejszą rzecza jest sprawić, aby nazwy były prawidłowe".* A kiedy pytający nie zrozumiał, filozof wyjaśnił mu: *„Jeżeli nazwy nie są prawidłowe, to mowa nie zgadza się ze stanem rzeczy; jeżeli mowa nie zgadza się ze stanem rzeczy, to obowiązki służbowe względem państwa nie są wypełniane; jeżeli obowiązki służbowe nie są wypełniane, to obyczaje i muzyka nie kwitną; jeżeli obyczaje i muzyka nie kwitną, to kary nie są trafnie stosowane; jeżeli kary nie są trafnie stosowane, to lud nie wie, jak posługiwać się rękami i nogami".*

Lud nasz, parafrazując Konfucjusza, nie raz już udowodnił, że potrafi posługiwać się nie tylko rękami i nogami; udowodnił bowiem, że potrafi myśleć i to myśleć politycznie. Toteż jeśli przytoczyłem tutaj rozumowanie starożytnego chińskiego filozofa, uczyniłem to nie dla samej tylko przyjemności zacytowania błyskotliwych paradoksów. Bowiem, jak głosi komentarz do dialogu, przez uprawidłowienie nazw *„należy rozumieć doprowadzenie do takiego stanu, aby wszyscy noszący odpowiednie nazwy spełniali zawarte w treści tych nazw obowiązki".*

Myślę, że są to słowa, nad którymi warto się od czasu do czasu zastanowić.

KONRAD FREJDLICH

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

ACH, TE KOBIETY...

Powieść „Układ" *) przedstawia nam Eddiego Andersona — Amerykanina greckiego pochodzenia, z rodziny kupieckiej, która straciła cały majątek podczas Wielkiego Kryzysu. Zaczynając od zera bohater dorobił się stanowiska wicedyrektora dużej firmy reklamowej, sporych dochodów i zapewnił sobie znaczny dobrobyt. Ma kochającą żonę, udane dziecko — cóż więcej brak mu do szczęścia? A jednak nie czuje zadowolenia z życia, zarabianie pieniędzy go nie zadowala, pragnie być wierny bliżej nie określonym ideałom, które zagubił robiąc karierę. Zajmuje się więc ubocznie publicystyką, krytykując — za niezłe honoraria — nieuczciwych polityków i niedomogi życia publicznego. Ale to mu nie wystarcza. Podejmuje więc bunt przeciw wszystkiemu — rodzinie, pracy, społeczeństwu. Zrywa z dotychczasowym życiem, łamie rozmaite zakazy społeczne, demonstruje swą wolność indywidualną, swe oderwanie od sfery, w której dotychczas funkcjonował.

Historia Andersona, opowiedziana przez Elię Kazana, nie jest jednak tylko zagadnieniem pustki duchowej amerykańskiej burżuazji, co już wielokrotnie czytaliśmy, i to w lepszych literacko wersjach. Natomiast nowością „Układu" jest wielki protest przeciwko dominacji kobiety w życiu Amerykanina. Motorem działań i wszelkich postępków bohatera powieści są kobiety. Żona robi z niego człowieka, popychając go na drodze do kariery. Kochanka staje się bezpośrednim czynnikiem wywołującym jego bunt. Matka, córka, znajome, nieznajome kobiety — wszystkie one, mniej lub bardziej bezpośrednio, wywołują kolejne zachowanie się Andersona. Jest on w ich rękach bezwolnym niemal narzędziem, czego zresztą nie uświadamia sobie w pełni. Jego sprzeciw w stosunku do otaczającego go świata — jest w rzeczywistości buntem przeciwko władzy kobiet. Działają one nie wprost, lecz prośbą i groźbą, uczuciem i rozsądkiem, zawsze przebiegle, nigdy jawnie. Ich celem jest całkowite wykorzystanie mężczyzny: materialne, socjalne i seksualne. Ta damska hegemonia rozciąga się na wszystkich panów. Nawet psychoanalityk, bożyszcze kobiet, od nich zależy, musi im schlebiać i poddawać się ich zachceniom — z nich bowiem żyje a ich potrzeby dyktują jego postępowanie.

W takiej sytuacji wszelkie próby wyrwania się z sieci muszą być skazane na niepowodzenie. Nawet jeśli bohaterowi uda się zerwać jedne więzy, to wkrótce znajdzie się w drugich, identycznych jak pierwsze. Kiedy Anderson ustabilizował się w nowej sytuacji, wynikłej z jego buntu przeciw dawnemu życiu w ściśle wyznaczonych ramach — spostrzega ze zdumieniem (i właściwie z zadowoleniem), że oto jest znów człowiekiem szanowanym w nowej grupie społecznej, posiada stałe i uznane zajęcie, ma solidny kredyt w banku. Książka kończy się jego pytaniem: „Czy cały ten dramat, wywrócenie do góry nogami mego całego dawnego życia miało prowadzić jedynie do tego — do skromnego życia i pracy, do przepływania dnia za dniem?"

NFP

*) Elia Kazan: UKŁAD. Państwowy Instytut Wydawniczy 1970. Str. 663. Cena 40 zł.

ODKRYWANIE TERAŹNIEJSZOŚCI

Stanisław Lem napisał ongiś, że powieść fantastyczno-naukowa spełnia dziś funkcje osiemnastowiecznej baśni filozoficznej. Obok bowiem wybiegania w przyszłość myślą i konstruowania hipotez na temat dalszego przekształcania się świata — ten gatunek literacki porusza równocześnie najważniejsze zagadnienia dzisiejszego człowieka i społeczeństwa. Kto wie, czy właśnie science-fiction nie jest najbardziej zbliżona do tego, co można uznać za literaturę w pełni współczesną?

Przykładem może być wydany ostatnio almanach opowiadań różnych autorów, prezentujący charakterystyczne cechy tego rodzaju twórczości w różnych krajach oraz różnorodność treściową owego gatunku *). Mamy więc i uczucie zagrożenia ze strony rozwijającej się techniki, i lęk przed nieznanym, i szukanie wspólnego języka pomiędzy różnymi istotami, i tworzenie się solidarności w obliczu wspólnej potrzeby — a równocześnie pochwałę rozumu ludzkiego, wiarę w postęp ulepszający ludzkość i dążność do pokonywania wszelkich trudności i przeciwieństw na drodze do przyszłości jako cechę działania człowieka.

Nie brak też elementów sensacji i humoru, słowem jest w tym zbiorze wszystko i każdy znajdzie w nim coś dla siebie. Zawarte w almanachu opowiadania zostały wybrane dość starannie i utrzymane są na wysokim — w większości — poziomie; jedynie przy paru można mieć wątpliwości, czy warto przedstawiać je czytelnikowi. Można mieć natomiast pretensje do autora wyboru za umieszczenie pozycji dawniej już publikowanych w Polsce. Dobrze, że jest ich niewiele.

Ciekawym pomysłem było dołączenie do tekstów literackich dwu artykułów napisanych przez naukowców, przedstawiających w przystępnej formie niektóre zagadnienia sporne czy nie rozwiązane w dzisiejszej nauce związanej z kosmosem. Wszelako oba te opracowania utrzymane są w stylu zbyt chyba popularnym, odpowiadającym raczej działowi ciekawostek w codziennej gazecie. Natomiast bardzo interesujący jest artykuł radzieckiego dziennikarza na temat hipotez dotyczących wciąż zagadkowej sprawy tzw. meteorytu tunguskiego.

Tom kończy tekst L. Jęczmyka, autora wyboru i tłumacza niektórych opowiadań, traktujący o charakterze literatury fantastyczno-naukowej. Szkoda, że autor nie ograniczył się do roli tylko tłumacza i do selekcji tekstów innych autorów.

NFP

*) Kroki w nieznane. ALMANACH FANTASTYCZNO-NAUKOWY. Wybór — Lech Jęczmyk. Iskry 1970. Str. 459. Cena 30 zł.

CIEKAWE ROZMOWY

Każdego z nas ciekawi, jak pracuje muzyk, pisarz, uczony. Chętnie czytamy rozmowy z nimi, mając uzasadnioną nadzieję, że ujawnią nam sekrety twórczego warsztatu. Ukazała się właśnie książka, która w znacznym stopniu spełnia nadzieję i oczekiwania czytelników w tym względzie. W „Spotkaniach zapisanych", do których przedmowę napisał Tadeusz Breza, Jadwiga Radomińska zgromadziła siedemdziesiąt wywiadów z pisarzami, kompozytorami, profesorami i aktorami. Znajdziemy w tej ciekawej i cennej publikacji rozmowy z Marią Dąbrowską i Jerzym Putramentem, z Witoldem Doroszewskim i Wacławem Sierpińskim, z Janem Świderskim i Władysławem Krasnowieckim oraz z wielu, wielu innymi. Rozmowy przeprowadzone są inteligentnie, dowcipnie, zajmująco.

Na marginesie lektury tej rzeczywiście interesującej książki nasuwa się następujące pytanie: dlaczego autorka przeprowadziła rozmowy wyłącznie z twórcami mieszkającymi w Warszawie? A w takim razie, czy nie byłoby wskazane, aby podobne książki ogłosiły inne wydawnictwa: na przykład Łódzkie i Krakowskie, uwzględniając twórców ze swego terenu. Nie wątpię, że byłyby to rzeczy o walorach poznawczych, no i do czytania.

jk.

Jadwiga Radomińska: „SPOTKANIA ZAPISANE", Wydawnictwo Literackie, 1970 rok.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Małżeństwo niedoskonałe

Widzewska Fabryka Maszyn Włókienniczych — „Wifama" specjalizuje się w produkcji krosien automatycznych i maszyn przędzalniczych i pretenduje do miana eksportera, co wiąże się z koniecznością sprzedaży poza granice kraju więcej niż połowy aktualnej produkcji. Z drugiej strony nie jest tajemnicą, że fabryka ma trudności w pokonywaniu zagranicznych, wysoce wyspecjalizowanych konkurentów, jakimi są tradycyjni już producenci maszyn włókienniczych. Trudności takie w przypadku młodego przemysłu maszyn włókienniczych — a takim jest polski przemysł produkujący maszyny włókiennicze — są naturalne i nie należałoby się temu dziwić, gdyby przemysł ten zaspokajał w należytym stopniu potrzeby krajowe. Niestety, pod tym względem polski przemysł maszyn włókienniczych nie wypełnia swojej roli. Ale czy to jest tylko tego przemysłu wina?

W fabrykach włókienniczych, a w tym również w fabrykach łódzkich można spotkać jeszcze maszyny, które pamiętają narodziny XX wieku. Są to maszyny przędzalnicze, zgrzeblarki i krosna. W samym tylko przemyśle bawełnianym pracuje 32,5 proc. krosien automatycznych, a wśród oczekujących modernizacji znajduje się m. in. tkalnia największego z krajowych kombinatów — ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Do najgorzej wyposażonych w nowoczesne maszyny należą również zakłady przemysłu bawełnianego im. F. Dzierżyńskiego, im. Hanki Sawickiej i Przędzalnie Bawełny im. gen. Waltera.

DWA RÓŻNE PROGRAMY

Przemysł włókienniczy sprecyzował dość dokładnie swoje żądania pod adresem przemysłu budowy maszyn włókienniczych. Przemysł bawełniany domaga się np. agregatów do rozluźniania i mieszania włókna, wysokowydajnych niedoprzędarek i przędzarek bezwrzecionowych. Potrzebne są poza tym snowarki, klejarki z automatyczną regulacją procesu klejenia, szerokie krosna automatyczne, chwytakowe i inne. Wykończalnie przemysłu bawełnianego oczekują na bielniki i maszyny do farbowania z automatyczną regulacją procesów i dozowania chemikaliów oraz na maszyny do filmowo-rotacyjnego drukowania tkanin.

Przemysł wełniany potrzebuje nowoczesnych maszyn dla procesów przygotowawczych, bardziej wydajnych zgrzeblarek i niedoprzędarek oraz nowoczesnych przędzarek. Przemysłowi temu potrzebne są krosna rapierowe i wieloprzesmykowe.

Poza tym włókiennictwo oczekuje na nowoczesne krosna dyszowe, różnorodne maszyny wykończalnicze, nie mówiąc już o skomplikowanych maszynach dziewiarskich i nowoczesnych maszynach dla przemysłu odzieżowego, gdzie szycie coraz częściej zastępuje się klejeniem i formowaniem odzieży metodą natryskową. Zapotrzebowanie włókiennictwa jest szerokie i wielostronne i nie może być inne, jeśli ma się ono stać przemysłem naprawdę nowoczesnym. Włókiennictwo w swoim dążeniu do nowoczesności liczy na pomoc przemysłu maszynowego. A ten oferuje MPL ciągi produkcyjne dla oddziałów przygotowawczych — trzepalnie, zgrzeblarki, rozciągarki do bawełny.

„Wifama" obok przędzarek do bawełny produkuje przędzarki do wełny, będące pochodnymi tych pierwszych. Da ona też krosna szerokie, będące zmodernizowaną wersją saurera, o wydajności o jedną trzecią większej od dotychczas produkowanych. Rozpocznie się też w kraju produkcję krosien rapierowych i chwytakowych.

Zaprezentowany tu w skrócie program przemysłu maszyn włókienniczych mógłby się wydać interesującym i pożytecznym, gdyby nie podstawowa trudność. Brak zgrania możliwości produkcyjnych przemysłu budowy maszyn włókienniczych i potrzeb włókienniczych, które dysponuje jeszcze przestarzałymi maszynami. Nie może ono korzystać z maszyn proponowanych przez przemysł maszyn włókienniczych. Powodem są skromne możliwości finansowe przemysłu lekkiego. MPL wprawdzie ma największy udział w akumulacji, ale najniższy w podziale funduszu inwestycyjnego. W 1968 r. udział przemysłu lekkiego w akumulacji wynosił 21,2 proc., a np. przemysłu chemicznego — 16,7 proc. Natomiast udział przemysłu lekkiego w podziale funduszu inwestycyjnego w ciągu ostatnich 25 lat wyniósł 5,3 proc. — podczas gdy przemysłu chemicznego — 13,1 proc. Był to więc stosunek eksploatacyjny, zakładający konieczność wyciągnięcia maksimum korzyści z tej gałęzi wytwarzania bez rozumienia potrzeby systematycznego jej unowocześniania.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji nastąpiła rozbieżność interesów między MPL a przemysłem budującym maszyny włókiennicze. Np. zielonogórska „Falubas" i bielska „Befama" rozpoczęły produkcję zgrzeblarek o wydajności 25 kg na godzinę, ale MPL nie wykazało należytego tym faktem zainteresowania. W przemyśle lekkim pracuje bowiem około 6 tys. zgrzeblarek o średniej wydajności 5 kg na godzinę. Gdyby więc polskie włókiennictwo zdecydowało się na wymianę przestarzałych zgrzeblarek na bardziej nowoczesne to nowych potrzeba byłoby tylko 1.500. Jednak wymiana taka wiązałaby się z koniecznością przeprowadzenia poważnych zmian organizacyjnych w przemyśle lekkim, do których przemysł ten w tym czasie nie jest przygotowany. Wiąże się to bowiem z potrzebą przekwalifikowania znacznej części pracowników, wykorzystania zwolnionej powierzchni, a także ustalenia innych zasad kooperacji.

Poza tym przemysł maszyn włókienniczych nie produkuje maszyn dla przemysłu dziewiarskiego. A to świadczy dobitnie o jego przestarzałym charakterze. Na całym świecie miarą nowoczesności przemysłu lekkiego jest stopień stosowania technik dziewiarskich i MPL zdecydowało się rozwijać przede wszystkim tę dziedzinę włókiennictwa. Dlatego m. in. buduje się na Teofilowie w Łodzi wytwórnię dzianin tkaninopodobnych, które staną się podstawą współdziałania ze sobą wielu przedsiębiorstw przemysłu odzieżowego. Maszyny dla tej wytwórni, jak i dla wielu innych przedsiębiorstw przemysłu dziewiarskiego i pończoszniczego sprowadza się jednak spoza granic PRL. W kraju bowiem dopiero rozważa się możliwość podjęcia produkcji takich maszyn.

KILKA WYJAŚNIEŃ

Zjednoczenie przemysłu maszyn włókienniczych — „Polmatex" w Łodzi ma pod swoją opieką 9 fabryk. Do ubiegłej pięciolatki otrzymywało ono na inwestycje po około 400 mln zł, w każdym pięcioleciu, co średnio na jedną fabrykę wynosiło po 80 mln zł. Dopiero w ubiegłym pięcioleciu wydano na inwestycje 800 mln zł i skutki tego są już widoczne. Nie wolno jednak zapominać, że polski przemysł maszyn włókienniczych narodził się praktycznie z niczego. Stało się to po drugiej wojnie światowej i — w przeciwieństwie do innych producentów maszyn włókienniczych — nie dysponował „remanentami" przemysłu zbrojeniowego. A tak właśnie było w krajach Europy zachodniej, gdzie produkcja maszyn włókienniczych rozwinęła się w przemysłach zbrojeniowych. Maszyny włókiennicze produkuje m. in. „Dornier", „Junkers" czy belgijska „NF". Nawet szwajcarski „Saurer" — od którego kupiliśmy licencję dla produkcji krosien automatycznych — parał się również produkcją zbrojeniową. Poza tym krajowy przemysł maszyn włókienniczych jest przemysłem małym. W CSRS np., której ludność jest prawie 3 razy mniejsza od ludności Polski, w przemyśle takim pracuje 200 tys. ludzi, podczas gdy u nas niespełna 14 tys.

Dopiero od niedawna przemysł maszyn włókienniczych rozpoczął słuszną zasadę specjalizowania niektórych fabryk w określonej produkcji maszyn. I tak, np. „Matex" w Zduńskiej Woli produkuje klejarki w oparciu o angielską dokumentację. Łódzki „Majed" specjalizuje się w wytwarzaniu maszyn do włókien sztucznych. Wypuścił m. in. udane wersje skręcarki do kordu i przewijarek do włókien teksturowanych. „Befama" w kooperacji z „Textimą" z NRD produkuje maszyny do wytwarzania włókien przeszywanych — „malivat". Poza tym poszczególne fabryki produkują na potrzeby całego przemysłu maszyn włókienniczych niezbędne im części: koła zębate, zunifikowane elementy z blachy, odlewy itp.

SPOŁECZNE SKUTKI ROZBIEŻNOŚCI

Przemysł maszyn włókienniczych jest świadom tego, że nie odpowiada za pełne zapotrzebowanie włókiennictwa. I traktując rzecz realnie nie ma takich możliwości. Jednak i tak nie wszystkie jego aktualne propozycje znajdują uznanie MPL. Np. w tym roku rusza produkcja krosien rapierowych. Będzie to wynik międzynarodowej kooperacji. Rocznie będzie w kraju powstawać 3 tys. takich krosien, a MPL potrzebuje ich zaledwie kilkaset w roku. Ukaże się też jeszcze w tym roku seria pilotowa krosien chwytakowych. Jakie będzie krajowe zapotrzebowanie na nie?

Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji przemysł maszyn włókienniczych koncentruje swoją uwagę przede wszystkim na rozwijaniu eksportu. W tej chwili zagraniczni kupcy zabierają 40 proc. wartości rocznej produkcji maszyn, a MPL — 30 proc., resztę stanowią części zamienne i produkcja maszyn dla przemysłu włókien sztucznych. Te proporcje będą ulegały dalszym przekształceniom, bowiem dąży się do tego, aby eksport osiągnął 65 proc. wartości rocznej produkcji maszyn włókienniczych.

Taki kierunek rozwoju jest na pewno korzystny, zmusza bowiem do stałego wprowadzania postępu technicznego, jako że na rynkach zagranicznych trzeba wytrzymać konkurencję doświadczonych wytwórców maszyn włókienniczych. Z drugiej jednak strony pozbawia włókiennictwo stałego dopływu coraz nowocześniejszych maszyn. Dlatego wydaje się, że mimo korzyści jakie daje rozwijanie eksportu niezbędne jest zgranie zamierzeń i programów między MPL a przemysłem maszynowym, gdyż obecnie każdy z partnerów działa nie oglądając się na drugiego.

POMOC NAUKI

Przemysł maszyn włókienniczych, zmuszony kierować swoje zainteresowanie na rynki zagraniczne, stara się tak zmieniać organizację, aby maksymalnie wykorzystać posiadane techniczne możliwości. W tym celu m. in. wprowadzono specjalizację produkcji elementów i części. Dzięki temu poszczególne fabryki będą mogły więcej uwagi poświęcić produkcji samych maszyn, bez dotychczasowego rozpraszania mocy produkcyjnych.

Takie działanie zapewni możliwość sprawniejszej produkcji maszyn, nie rozwiąże jednak problemu ich nowoczesności. Do tego potrzebna jest pomoc nauki. Obecnie przemysł maszyn włókienniczych dysponuje jedynie Centralnym Biurem Technicznym — CeBeTe w Łodzi, które wprawdzie współpracuje z Politechniką Łódzką, Instytutem Włókiennictwa i Instytutem Włókien Sztucznych i Syntetycznych, ale które nie jest w stanie samodzielnie rozwiązać wielu problemów technicznych.

Tak się złożyło, że trzy współpracujące ze sobą placówki — CeBeTe i dwa instytuty — uplasowały się w niewielkiej odległości od siebie. Przypadek ten nasuwa oczywiste rozwiązanie, które wprawdzie leży w poprzek partykularnych interesów poszczególnych przemysłów, ale które, biorąc pod uwagę zasadniczy cel — nowoczesność włókiennictwa, może okazać się pożyteczne. Chodzi o integrację tych trzech współpracujących placówek, tak aby powstał jeden silny, dobrze wyposażony instytut, zajmujący się całością problematyki włókienniczej — od powstania krajowych surowców, poprzez budowę maszyn do ich obróbki. Spełniałoby to nie tylko postulat integracji kadry naukowej i wyposażenia laboratoriów, ale też gwarantowałoby większą skuteczność w rozwijaniu nowoczesności we włókiennictwie.

Fot. W. Parys

ZYGMUNT FIJAS

ZE WSPOMNIEŃ ZAANGAŻOWANEGO SCHEMATYSTY

W CZERWCU ROKU 1946 TUPNĄŁEM OBCASEM O BETON STACJI ŁÓDŹ-FABRYCZNA, ABY OSIĄŚĆ W POLSKIM MANCHESTERZE NA ĆWIERĆ WIEKU.

Miasto to poznałem już wcześniej. Spodobało mi się ono. A zwłaszcza ulica Piotrkowska: z ogromnymi — mnie, krakowianinowi po troszę, wydawało się — monumentalnymi wystawami; zasnuta dymem mimo, że dzień był letni, złocisty, na ulicy winno być przeźroczysto, a było mgławo od spalin węglowych; rojna i tętniąca ruchem przemysłowo-handlowym, o którym dzisiejsi przybysze z całej Polski i województwa „łodzianie" nie mają pojęcia.

Podobała mi się także ulica Zielona, dawniej Legionów: pokryta takimi samymi pięknymi łbami jak plac Mariacki w Krakowie, przylegająca do Zielonego Rynku, ozdobionego przepiękną pergolą, pośrodku której stała urocza studnia, obłożona dębowymi okładzinami. Podobała mi się ulica Gdańska. Przez nią przejeżdżał pasażer z Dworca Fabrycznego, zamierzający wsiąść do pociągu wyjeżdżającego na północ i zachód z Dworca Kaliskiego; a w czasie tej przejażdżki odsłaniała mu się panorama centrum Łodzi.

Dałem tej panoramie wyraz w notatce poetyckiej, wydrukowanej przez Romana Kolonieckiego w „Plonie", w której przewinął się motyw okiennych pelargonii oraz, jak napisałem: „żebraka odwijającego Polskę „ranę" z cajgowego bandażu".

Duże wrażenie w czasie mego parugodzinnego przedwojennego pobytu w tym mieście wywarła na mnie ulica Wólczańska. Schludna wtedy i cicha.

Przy tej ulicy mieściła się redakcja „Chłopskiego Życia Gospodarczego", kierowana przez Stefana Ignara.

Odwiedziłem tę redakcję, wprowadzony do niej przez wiciowca, Wojciecha Janczaka z Charłupi Małej pod Sieradzem. Tego Wojtka Janczaka, do którego wsi dochodziło się z miasta ścieżką obok tak zwanego po sieradzku „kirchola", po galicyjsku „kierkowa", w mowie ogólnopolskiej „kirkutu", więc żydowskiego cmentarza. Tego Janczaka ze wsi sąsiadującej z Charłupią Wielką, której dziedzicem był ongiś Reymont: bliskiego kolegi ideologicznego innego wiciowca z mych rodzinnych stron, adwokata N. W., autentycznego Polaka i działacza ludowego, byłego bereziaka, zabitego przez pomyłkę w Krakowie w burzliwym roku 1945 na plantach w biały dzień. Zapewne dobrego znajomego Stefana Ignara.

Janczak ułatwił mi miesięczny, letni pobyt w swym domu. Pozwolił zapoznać się z urokami dolinnego krajobrazu sieradzkiego, dla mnie, trochę górala, krainy egzotycznej, bo beznadziejnie płaskiej.

Ślady sieradzczyzny odszukał Stanisław Czernik w mym lirycznym melodramacie prozą, drukowanym swego czasu w „Odgłosach", za Jana Koprowskiego, pod tytułem „Sprzedaż Babianny za kółka do krakowskiej uprzęży" oraz w epilogu do tej prozy ornamentacyjnej „Hosanna. Materiały do hymnu" (nie dodałem: żałobnego). Oba te utwory, zapłacone w łódzkiej „Osnowie", lecz z powodów znanych Piechalowi, wówczas redaktorowi tego imperiodyku literackiego, nie wydrukowane, ukazały się w zbiorku prózek poetyckich „Z notatnika prowincjusza". (Czytelnik).

Do roku 1945, a ściślej — już w tym roku, poznawałem Łódź dokładniej.

Wybrano mnie w Krakowie na członka zarządu Związku Literatów, ze specjalnością „sprawy socjalne i gospodarcze", z czego nie wynika, jakobym w sprawach czysto literackich nie miał pełnego głosu. Że miałem, tego dowód wykluczenie karne Magdaleny Samozwaniec z ZLP w tych czasach, kiedy maczałem podniesione palce wraz z Janem Wiktorem i Stanisławem Witoldem Balickim i Tadeuszem Kwiatkowskim, ówczesnymi członkami zarządu.

Według pewnego „Iwana Nikiforowicza-Iwana Iwanowicza" z dawnej bracławszczyzny, zamieszkałego w Łodzi, wybrano mnie na coś w ro-

EUGENIUSZ IWANICKI

JAK FUNIO ZAWĘDROWAŁ DO NIEBA

Wieś jak inne: przycupnięte domki wzdłuż pijanej, zygzakowatej szosy. Gdzieniegdzie słomiane strzechy, częściej eternit. Pustka przyczajona w opłotkach, nuda ziewająca szeroko otwartymi wrotami stodół.

Tylko pod sklepem GS stoją rowery, a chłopi leniwie zaciągają się sportami. Tu czas ma inne znaczenie, nie jest najcenniejszą wartością. Nie zaciera pamięci, raczej konserwuje zdarzenia.

W tej wiosce, nazwijmy ją Przylesie, wydarzyła się dość niezwykła historia, nazwana przez jednych tragedią, przez innych nieszczęśliwym wypadkiem, a jesz cze inni mówią o niej jako o pospolitym morderstwie. Dziś nie dowiemy się prawdy, która została pogrzebana wraz z wesołym Funiem, a ci, co mogliby na ten temat cokolwiek powiedzieć, starają się o niczym nie pamiętać. Ale wieś ma swoją opinię, tu zdarzenia nie gubią się na rozległych gościńcach czasu lecz zostają zakonserwowane, odłożone na specjalne półki, do których bez trudu można sięgnąć w razie potrzeby.

Funia znałem osobiście, jeszcze kiedy pracował na rampie przy rozładunku wagonów z azotniakiem i węglem. Mówiono o nim: głupi! Funio śpiewał wesołe piosenki, śmiał się do wszystkich, stawiał piwo i cieszył się nie wiadomo z czego. Był silny i wytrzymały. Wywijał szuflą opętańczo, z zapamiętaniem, jakby znajdujący się na platformie węgiel był jego osobistym wrogiem. A może to był swoisty sposób wyżycia się, ucieczka od czegoś, co ciągle było dla nas nieuchwytne, schowane w innych, zaczarowanych rewirach jego wyobraźni.

Funio nie skarżył się. Ocierał brudnym rękawem mokrą twarz i szczerzył żółte, spróchniałe zęby.

— Gorąco, Funio?

— Jak cholera.

— Po co tak tyrasz, Funio? Po co ci forsa?

— Ożenię się! — wykrzykiwał radośnie. — Dostanę tłustą babę! Ożenię się!

Wiedzieliśmy, że Funio chce się ożenić, ale jego pragnienia budziły w nas wesołość. No bo pomyśleć: głupi Funio i żona! Która z bab zechce półgłówka? Nawet te ułomne, co to kuśtykały obok rampy, odpowiadały na jego zaczepki arogancko i opryskliwie.

— Patrzta go, żeniaczki mu się zachciewa.

— Do ciebie nawet szpadel nie pasuje...

— Funio, kiedy ty zmądrzejesz, co?

A Funio śmiał się z uciechy. Głosy kobiet wprawiały go w ekstazę.

— Ożenię się z tobą! — krzyczał. — Chcesz, ożenię się jeszcze dzisiaj! Mam pieniądze, słowo, mam kupę pieniędzy. No to jak?

Często, po pracy, kiedy wahadło było rozładowane, a parowóz manewrowy ciężko sapiąc przetaczał wagony na inny tor, chłopcy siadali na cegłach obok magazynów i zaciągając się papierosami, mówili:

— Funio, lubisz piwo?

— Lubię — cieszył się. — Lubię piwo.

— To przynieś.

Funio biegł truchcikiem do sklepu, kupował parę bułek, kaszankę, brał kilka butelek piwa, wracał i mówił:

— Ale znajdziecie mi babę, nie?

— Znajdziemy, Funio, na pewno znajdziemy.

— Nawet mamy taką jedną na oku.

— Tłusta?

— O, taka — rozkładano ręce. — Jak wagon.

— To kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy się ożenię?

— Lada dzień po niedzieli. Na pewno.

I Funio czekał owego dnia po niedzieli. Uwijał się przy wyładunku, przetaczał beczki, nosił deski, dusił się w białym pyle sztucznych nawozów, harował. Świt zastawał go na rampie, zmrok był sygnałem do przerwania pracy. Wówczas mył się pod pompą, tarł czarne, ogromne dłonie, wypluwał gęstą ślinę pomieszaną z ziemią. Potem wsiadał na rower i śpiewając na cały głos, jechał do swojej wioski przycupniętej w lasach, świecącej w nocnej czerni niby ślepia wygłodniałych wilków. W walącej się chałupce, na posłaniu ze słomy, Funio śnił swój nie kończący się sen o białej i tłustej babie.

Aż któregoś dnia, właściwie wczesnym świtaniem, kiedy czekano na podstawienie wagonów, wyłonił się z szarówki rozśpiewany Funio i zaczął krzyczeć na całe gardło:

— Żenię się! Żenię się!

— Przestań się drzeć, idioto — zamachnął się któryś.

Nikt nie wierzył w jego słowa, bowiem od dawna przyzwyczajono się do tej, powtarzanej nieustannie, gadaniny. Szybko wciągnięto kombinezony, włożono rękawice i w zgiełku uderzających o siebie zderzaków, wśród mdłych świateł wywrotek, zaczęto odrzucać klapy wagonów.

— Dzisiaj się żenię — uparł się Funio. — Nie będę pracować.

I ożenił się.

Kobieta, która odważyła się za niego wyjść, nie była co prawda tłusta, za to dźwigała przed sobą rozdęty brzuch, świadczący o jej grzesznej, przedmałżeńskiej miłości.

W tydzień po ślubie żona Funia powiła bliźniaki. Funio cieszył się z tego i wszystkim stawiał piwo. W jego twarzy, obok szaleńczej radości, po raz pierwszy dostrzeżono coś bardzo ludzkiego. Był to spokój rozbitka, który osiągnął brzeg.

— Szybki jesteś, Funio — mówili robotnicy.

— No, pewnie.

— A chociaż przespałeś się z nią jak należy?

— Przespałem. Kochaliśmy się.

Tak rozpoczął się dramat głupiego Funia, zakończony jego nagłą śmiercią. Zabiło go zaufanie do ludzi i wiara w ich dobroć. Zabiła go miłość, której miał w sobie nad miarę i chciał nią obdarzyć cały świat, wszystkich, których spotykał na swej drodze. Dziś mówi się, że był to nieszczęśliwy wypadek; mówi się, że głupi tak czy inaczej musi w końcu zapłacić za swoje istnienie.

Żona Funia, zuchwała i chytra kobieta, nie cieszyła się najlepszą opinią. W jej domku sypiali przygodni włóczędzy, zabłąkani pijacy, drogowcy pracujący przy układaniu nawierzchni, elektrycy łażący po słupach. Gdyby ją zapytać o prawdziwego ojca bliźniaków, nie umiałaby dać odpowiedzi. Nie pamięta wszystkich twarzy, a zresztą dzieci noszą nazwisko Funia, to jej wystarcza, miały przecież prawdziwego, legalnego ojca.

Miały. Funio stał się czasem przeszłym, bowiem jego historia znalazła nagłe zakończenie.

Oto oficjalna relacja zdarzenia opowiedziana przez żonę:

W kilka miesięcy po ślubie, kiedy w chałupie wrzeszczały bliźniaki, a nie opodal, w ogrodzie, grupa elektryków ciągnęła linię, żona Funia przygotowała zakąski i postawiła na stole butelkę samogonu. Opijała sprawę nowej instalacji elektrycznej, którą nie tak dawno wmontowano w ściany jej wiekowego domu. Co prawda nie wszystko zostało wykończone, sterczały jeszcze z gniazdek druty, puszki rozdzielcze nie miały zabezpieczenia, w piwnicy walały się całe zwoje kabli, ale wieczorami w mieszkaniu płonęła żarówka.

Przyszli elektrycy, chłopcy opaleni i hardzi. Swobodnie siedli na lichych taboretach, rozlali, zakąsili. Potem jeszcze po jednym i jeszcze. Funio, który kręcił się po mieszkaniu z uśmiechem, znosząc docinki i zaczepki, w pewnym momencie schwycił wiadro i zszedł do piwnicy po węgiel. To była jego ostatnia droga.

Znaleziono go wieczorem, zaplątanego w przewody, sinego, z twarzą wykrzywioną grymasem zdziwienia. Nad nim kołysała się na długim przewodzie zapalona żarówka.

Tak zakończył swoją wędrówkę głupi Funio, żyjący od słońca do słońca, szukający tej swojej jedynej jasności, która niby błyskawica oślepiła nagle jego zdziwione i radosne oczy. Lecz ta śmierć miała w sobie grozę niedomówienia. Była oczekiwana przez mieszkańców wioski. Śmierć krążyła nad Funiem od chwili, kiedy przeniósł się do domu żony. Dlatego ludzie nie uwierzyli w przypadek.

Przed sklepem GS, obok rowerów, obok stosu skrzynek po wódce, gospodarze palą papierosy. Czekają. Spoza lasów, od strony miasta, poskręcaną szosą pędzi gdzieś tam furgonetka z piwem. Nikt nie wie, kiedy nadjedzie, lecz są przekonani, że nadjedzie na pewno, a wówczas każdy wygodniej usadowi się na skrzynce i zacznie łykać kwaśny odór spienionego płynu.

— Byłem kolegą Funia — mówię. — Robiliśmy razem na rampie.

— Tak — odpowiadają. — Robiliście.

— Głupio wyszło — mówię. — Taka śmierć....

— Ano, głupio.

Rozmowa nie klei się. Czekamy. W końcu nadjeżdża furgonetka. Zamawiam dwie butelki, siadamy, pijemy, milczymy.

— Suka — odzywa się jeden. — Głupi był, bo głupi, ale żeby tak...

— Mówili, że to wypadek — wtrącam.

— A mówili, mówili. Mało to co ludzie mówią? Żyła z tym elektrykiem, fakt. Funio przeszkadzał, choć był jej potrzebny, żeby bękarty miały nazwisko.

— Po mojemu, to sama nalała wody do piwnicy, kazała mu iść po węgiel, a potem wkręciła korki. Ot i tajemnica.

— Niemożliwe! — krzyczę.

— Możliwe, możliwe. Piła z tym elektrykiem, a Funio, jak to Funio, ze śpiewem lazł do piwnicy. Potem, po wkręceniu korków, podobnież powiedziała do tego fagasa, że pewnie coś się stało, bo Funio przestał śpiewać. No, a kiedy poszli sprawdzić, to już było po wszystkim.

— Poszli dopiero wieczorem...

— Pili, to nie mieli czasu.

— A teraz chodzi w żałobie, taka jej mać!

— Jeszcze dostała pieniądze za Funia, że niby był ubezpieczony.

— Cholera nie baba. Teraz znowuż u niej pełno. Wszystkie samochody na noc się zatrzymują. I na taką paragrafu nie ma.

— Żal wam Funia? — pytam.

— E, żeby żal, to nie, ale człowieka krew zalewa jak ogląda taką... Znów jej bebech rośnie.

Długo siedzimy na skrzynkach, strzykając na ziemię lepką śliną i odstawiając pod ścianę puste butelki. Zbliża się wieczór, pora, kiedy Funio kończył pracę na rampie i wsiadał na rower. Zazwyczaj zatrzymywał się obok sklepu, brał piwo, albo, ot tak, dla samej czynności pośmiania się, siadał wśród rolników, przyjmując ich żarty jako słowa sympatii, jako przychylne gesty, których zawsze pragnął.

Nie, nie poszedłem do wdowy. Gdzieś zrodziło się podejrzenie, że jej żałoba jest mistyfikacją. Okłamuje pamięć po zmarłym, jak okłamywała jego samego. Gra swą tragiczną rolę do końca, gotowa płakać i wyrywać włosy. Lecz ci mężczyźni przed sklepem znają jej ubogi repertuar. Wiedzą, że wkrótce sztuka się skończy i kurtyna przysłoni ubogą wiejską scenę. Przysłoni także samo zdarzenie. Czekają więc na finał. W ich świecie pamięć ma właściwości konserwujące. Wierzą w sprawiedliwość.

— Więc byliście kolegą Funia... — stwierdza któryś.

— Byłem. Robiliśmy razem na rampie — zaczynam i nagle chcę opowiedzieć wszystko co o nim wiem, lecz mężczyźni powoli podnoszą się, zapinają marynarki. Odchodzą.

Przed domem Funia zatrzymuje się kolejny samochód i otyły kierowca powoli wchodzi na podwórze, skąd rozlega się przytłumione ujadanie psa.

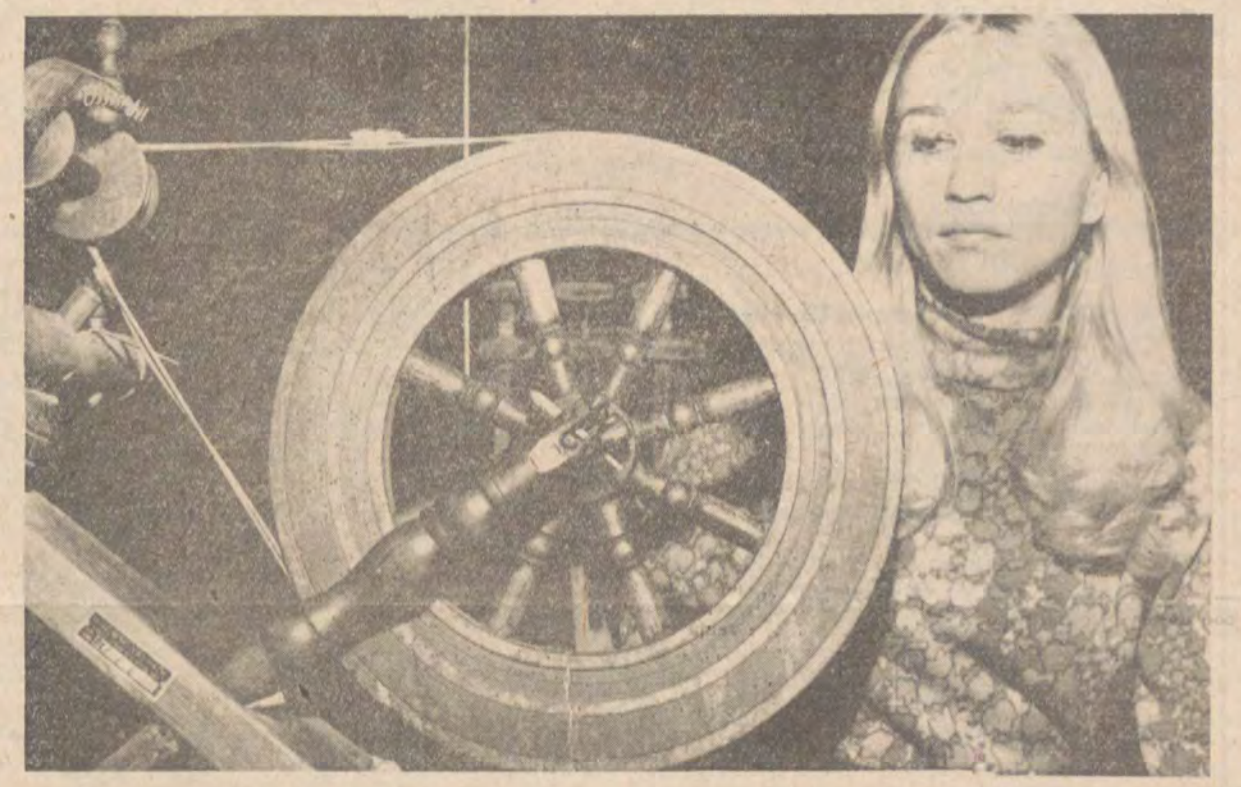

Fot. A. Wach

dzaju „ufrzyj, zawrzej", więc swoistego fagasa. Ale ten maniak wlokący za sobą swe kompleksy prowincjonalne, jak skazaniec żelazną kulę, do dziś o tym nie wie, iż na pierwszym walnym zebraniu ZLP w Starym Teatrze w Krakowie, w zimie, wybrano mnie na wniosek Jana Wiktora przez aklamację na posła do Krajowej Rady Narodowej, więc do tak zwanego wówczas żartobliwie „KRANu", z którego to wyboru nie skorzystałem, odstępując swą godność poselską Kazimierzowi Wyce, przedwojennemu docentowi polonistyki za Stefana Kołaczkowskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, później, i słusznie „Jego Magnificencji Rektorowi Almae Matris Cracoviensis", której poziom, jak słyszę, zwłaszcza medycyny, zwalnia od przymusu nostryfikacji na zachodnich uniwersytetach.

Ponieważ czasy były głodowe, a surowce konsumpcyjne, jak się wtedy mówiło i pisało, były „zabezpieczane" w różnych zakątkach Polski, więc obowiązkowych wyjazdów — za jadłem i odzieżą dla biedujących ludzi pióra — miałem huk.

Przyjeżdżałem więc i do tej „Ziemi obiecanej" Lodzermenschów, których niedobitki urzędowały wtedy w łódzkim „Tabarinie" i innych typowo łódzkich tingel-tanglowych lokalach z lożami i miękkimi kanapami.

Wtedy prosperowały jeszcze różne prywatne „handle kolonialne". Na półmiskach w witrynach przy Piotrkowskiej można było zobaczyć dzwona suma, wielkie jak jesiotra, skądś brał się kawior, chociaż niektóre robotnice mdlały, jak mi się zdaje, z głodu na tejże samej, jak mówią w Łodzi „Pietrynie" czyli Piotrkowskiej — Kurfurstendamm, a „Kurwistendamm", jak nazwał berlińską ulicę Kurfurstów Julian Tuwim. Stąd „Kurwistendamm", bo Jerzy Zawieyski odwiedziwszy Berlin w pierwszych powojennych kwartałach, na zapytanie, co słychać w tym mieście, odpowiedział: „Już jest pokój. Po Kurfurstendamm chodzą te same córy Koryntu co dawniej: w butach wysokich z ostrogami i pejczami w rączkach". Znaczyło to, że Berlin wraca do normalnego życia.

Jeszcze wtedy rozdzielnictwo i fasowanie drewnianobawełnianych i sztuczno-jedwabnych tkanin, jako też skarpetek i pończoch i syberyjskiej bielizny załatwiało „Społem". Pamiętam pięć worków tak zwanego „sukna" z wełny drzewnej, palącej się chętko jak wióry, w którym paradował przez długi czas Kazimierz Brandys. Zmienił swój powstaniowy, workowy „samodział", farbowany na granatowo, na bardziej elegancki, „sukienny".

Wyszło z zawartości tych worków, przywiezionych przeze mnie z Łodzi ciężarówką Polskich Linii Lotniczych „LOT", kilkadziesiąt galantych ubrań. Wszyscy wystroili się pięknie. Nawet Julian Wołoszynowski, który wówczas mieszkał wraz ze swą żoną, wybitną aktorką, Dulębą, w domu literatów przy Krupniczej 22.

O sukniach pań i ich nowej, rodem z Łodzi, dyskretnej bieliźnie „jedwabnej" napiszę przy innej sposobności.

Halina Dąbrowolska, moja późniejsza łódzka współmieszkanka, autorka dzieła o Karolu Irzykowskim, Kraszewskim — i innych utworów, w sumie: trzynastu (według PAN Instytutu Badań Literackich czterotomowego dzieła „Słownika Współczesnych Pisarzy Polskich" wydanego w roku 1964; według zaś słownika Agencji Autorskiej „Polscy pisarze współcześni 1944—1969" całkiem „niezaistniejąca", bo z niewiadomych przyczyn nawet nie wymieniona w tej, złośliwie pisząc, reklamówce, ale nie zapomniano wymienić nazwisk kilkunastu autorów fotografii zamieszczonych w tym vademecum dla księgarzy, którego lokalną wersję, mimo niedoboru papieru, podobno przygotowuje Wydawnictwo Łódzkie); ona, ta Halina Dąbrowolska, jeszcze w Łodzi nosiła letnią sukieneczkę, różową w czarne kropki, uszytą z „jedwabiu" z tych worków ze „Społem".

A i ja też sam, gdy mi wpadnie fantazja, przywdziewam „jedwabną" koszulę w paseczki z tych czasów. Jest naddarta, ale ładna. Liczy sobie połowę tego czasu, którą nazwał swe wspomnienia Jerzy Putrament.

Takie same koszule nosili: Jerzy Zagórski, Stanisław Witold Balicki, Witold Zechenter, Jan Wiktor, Leopold Staff, Kazimierz Czachowski, Julian Przyboś, Artur Górski (ten od dytyrambu eseju o Mickiewiczu: „Monsalwat", też mieszkający w pierwszych powojennych latach przy Krupniczej 22; bo pomimo różnic ideologicznych zasada równouprawnienia w korzystaniu z pomocy państwowej i związkowej była w pełni przestrzegana w tych ostrych, biednych czasach). Wszyscy nosili te same pasiaste szmizjery męskie, łącznie z niewymownymi, też z tych społemowskich worków, pełnych różnych konfekcyjnych fidrygałów jak rogi obfitości Jowiszowej kozy Amaltei.

W tych czasach, jeszcze nie tak bardzo schematycznych i zbiurokratyzowanych i, jakby napisał poeta Konrad Frejdlich, nie referatowo-jałowo-opisowych: według dziewiętnastowiecznych reguł klasycyzującego realizmu, zawiadywałem z ramienia zarządu dwiema kamienicami: przy

Dalszy ciąg na str. 6

JAN HUSZCZA

Zapisek z Sieradza

O Sieradzu by zdania,
w których strzały tatarskiej świst,
miecza krzyżackiego błysk

Od kolegiaty
blisko
do kościoła podominikańskiego,
ale i daleko
jak od gotyku
do baroku
choć takie same lipy i kasztany

We frontonie kolegiaty
czernieją,
ocalone z pożogi stuleci,
odrzwia zamku
orzeł piastowski
za skrzydła trzymany
przez lwa i gryfa
Orzeł
wielmożów
mieszczan
chłopów

Spełzłe, spóźnione
Sukiennicza,
Zamkowa,
Szewska,
Podrzecze
dziś ubogie krewne nowszych ulic

Sobotni pijacy,
zataczając się przez kraj,
zawadzają i o Sieradz

Ale oto słoneczka słoneczników
w zielonych chmurach ogrodów
Sieradz zakładów „Sira"
Sieradz w wieńcu z róż

Wicher
jakby sposobił drzewa do odlotu
stroszą się tysiącem skrzydeł

Czego nie odszukać w zdaniach,
czego nie ma na obrazach,
czego nie ma w muzeum
niech Warta opowiada
niech Żeglina jej pomaga
one najwięcej widziały
komysze i łozy
łachy piaszczyste
rybitwy

Tylko zechciejcie słuchać
tylko umiejcie słuchać

12 — 15. VII. 1969

★ ★ ★

W odwilży
pachnie zleżałe igliwie
podściółka puszczy
z której został jeden modrzew
i jedna brzózka

Między topniejącym śniegiem
a zamarzłą ziemią
można usłyszeć
ślady
zaprzeszłych zwierząt

Nad tą okolicą
panuje Biuro
najwyższy budynek osiedla

Siwowłosy woźny
który dwa razy był w szpitalu psychiatrycznym
co noc słyszy tura
turzącego pomstę

Wychodzi ze staroświecką latarnią
by przejrzeć niebezpieczeństwo
zatacza nią kręgi
mżące rudzizną

Wszyscy się z niego śmiejemy

★ ★ ★

Gwiazda,
gdy przerażona,
spada...
Drzewo,
gdy porażone,
schnie...
Człowiek,
gdy wędrowaniem zmęczony,
stuka do cudzych drzwi.
Czasem się otwierają.

Rys. L. Woźnicki

Podróż sentymentalna

Zostaną za nami Łódź i Łagiewniki,
wygodnie się jedzie własnym koczobrykiem.

Pogoda dopisze, bo to czerwiec przecie,
myśli bądźmy dobrej, ma się coś w kalecie.

W Łowiczu staniemy, znamy tam gospodę,
gdzie jest sarnia szynka, piwo na ochłodę.

Piwa będzie dużo. Po piwie węgrzyna.
Niech nas Bzura potem z podziwem wspomina.

A rankiem przed drogą trzeba, panie bracie,
wotywy wysłuchać w pięknej kolegiacie.

W Warszawie rzecz pierwsza: stryj wrócił z zesłania,
do nóg upadniemy, toż będzie płakania!

Minie nas dyliżans, trąbce pocztyliona
echo z głębi puszczy odpowie i skona.

Jedzie się dość szparko, popędzamy konie,
lecz krajobraz obcy. Zamiast puszcz jabłonie.

Ludzie jak w teatrum, Przebierańcy jacyś?
My jedni prawdziwi? My jedni Polacy?

W Warszawie błądzimy od piątku do wtorku.
Jest tamta uliczka, ale nie ma dworku.

To ci desperacja. Nikt nas nie rozumie.
Szczęściem, ktoś pijany po łacinie umie.

Znów węgrzyn i lulki. Nowy nasz znajomy,
człowiek widać bystry, zna tu wszystkie domy.

Stryj dawno nie żyje. Dziwy na tym świecie.
Jesteśmy spóźnieni. O całe stulecie!

Jak wracać? Na trakcie samojazdów tyle,
liczą kilometry, my zaś długie mile...

ZE WSPOMNIEŃ ZAANGAŻOWANEGO SCHEMATYSTY

Dalszy ciąg ze str. 5

Teresy I przy Krupniczej (mając czeladkę administratorów, samych ziemian), jak później mówił Breza w radiu: „właścicieli latifundiów, krewnych tego niedoszłego benedyktyna, hrabiego, kawalera maltańskiego, pracownika konsularnego i pisarza na światowym poziomie". Zawiadywałem też resztówkami: po Michale Radziwille w Nagłowicach, pod czujną, troskliwą opieką Leopolda Buczkowskiego, autora „Czarnego potoku" i w Pławowicach w Proszkowskiem, po Ludwiku Hieronimie Morstinie, pod wodzą brata autora wymienionej powieści, rewelacyjnej formalnie, lecz tępionej przez różnych dawnych zoilów i smokierów, Mariana Ruth-Buczkowskiego.

Już dawno, bawiąc w Krakowie, naczelnik łódzkiej rozgłośni, nadającej w tych czasach programy do pohitlerowskich ulicznych megafonów, „szczekaczek", rzekł do mnie:

— Gdy będziesz przelotem w Łodzi, przynieś co do radia. Zaraz to puścimy.

Współpracowałem wówczas z krakowskim „Przekrojem", w okresie jego świetności. Dałem naczelnikowi Piechalowi tekst wieczorem, a zdaje się już nazajutrz w południe słyszałem ten, już drukowany tekst, puszczony na pytel uliczny.

To była szybkość. To było tempo! I honorarium było godziwe i natychmiastowe. Ale w łódzkiej rozgłośni pracowali tacy ludzie jak Tadeusz Łopalewski, kutnianin, warszawiak i wilnianin, poważny pan, ale umiejący spojrzeć figlarnym okiem na fimfy ludzi z dawnej prawdziwej bohemy. Sam mało pisywał do radia, a jeśli czynił to, to z nerwem radiofonicznym, bez którego nie ma, niestety, radiofonii. Jak nie ma telewizji bez inteligencji radiofonotelewizyjnokabaretowoteatralnej.

Panował wtedy, przyznajmy to jednak, nie tylko głód mięsa, ale wściekły głód słowa polskiego.

Ludzie stali na łódzkich ulicach przy megafonach, bo własnych radioaparatów nie mieli. Stali nieraz w czasie słoty i mrozów, jak dziś stoją kibice sportowi w czasie nadawania przez telewizję przebiegu wyścigów rowerowych czy ważnych meczów.

Później jeden z mych kolegów, też łodzianin i też w Krakowie, rzekł do mnie.

— Tyle lat już siedzisz wśród smrodliwych centusiów. Mógłbyś wyjechać z nami do Łodzi. W tym mieście koncentruje się teraz całe Wilno, cały Wschód, cała Warszawa. Mamy trzy wspaniałe domy literatów. Trzeba oderwać się od swych stron.

Więc po długich targaniach się z sobą, bo Kraków, powiedzmy to na złość Poznaniowi, Katowicom, Warszawie i Łodzi (z wyjątkiem Wrocławia), miasto śliczne, chociaż przez różnych przybyszów przeonaczone, zabiedzone i odarte z różnych historycznych szpetot, które właśnie dodawały grodowi Kraka pieprzyka, podobnie jak Łodzi dodają fajera różne, rzekome jej brzydoty: skazy piękności, mówiąc językiem koniarskim „schonheitsfehlery"...

Więc po długich zmaganiach się z sobą zebrałem swe krakowskie lary i penaty w postaci lampy kutej, żelaznej, stojącej — z tak zwanego kasyna krakowskiego domu literatów, jednego papierowego, ogromnego abażuru, który mi cedowała poetka Swirszczyńska, bo się jej przestał podobać, i przybyłem do Łodzi.

Dwa pokoje z czterech, które zajmowałem w Krakowie, oddałem w używanie wraz z pełnym umeblowaniem mym współlokatorom, Polewkom, by te graty sobie odkupili od Głównego Urzędu Likwidacyjnego.

W jednym z tych moich dwu kawalerskich pokoi zamieszkała później Natalia Rolleczek, autorka „Drewnianego różańca". Czyli, krótko mówiąc, „Tala".

Tala, która, gdy miała szesnaście latek, była tak uroczym dziewczątkiem, że ja, stary wyjadacz, ślepy na powaby niewieście, na konspiracyjnej zabawie u Hołuja przy Gertrudy, przez co najmniej dwie godziny byłem pod urokiem tej sierotki bez ojca i matki.

O świcie, gdy już minęła policyjna godzina, wyprowadziłem to cud-dziewczę na świeże powietrze, zacząłem je namawiać, aby pozwoliła się odprowadzić do mego domu.

Pozwoliła się odprowadzić jeszcze kilkaset kroków dalej. Ale jako mocno utwierdzona w wierze i zasadach moralnych dziewczyna, wykręciła się na pięcie i zostawiła mnie zapeszonego (i sama też zapeszona) na chodniku. I nawet języczka mi nie pokazała na pożegnanie, który, jak mi się wydawało na tych zakonspirowanych imieninach u Hołuja, musiał być równie niewinny i bezgrzeszny jak i cała jej niewinna postać, tej virgo intacta z domu sierot, która tak była zaprawiona w zacności przez zakonnice, jak panienki w francuskich konwiktach, o których naiwnej niewinności, w celu scharakteryzowania ich bezgrzeszności, poeta mógłby powiedzieć: „A gdy całowali je po piersiach, to się śmiały". Śmiały się, bo ta ozdoba talii służy tylko ku karmieniu, nie śmiesznościom miłosnym.

Wszyscy księża, jakich znałem, po zdjęciu przez nich sukienki duchownej, mieli ten sam bogobojny wyraz twarzy i tak zwany habitus, jak ta przyszła pisarka, Ernest Renan — i z swoją twarzą, i z rękami założonymi, to właściwie nie uczony i obrazoburca, lecz myślący teolog. Tak mi się utrwalił w pamięci jako proboszcz.

ZYGMUNT FIJAS

Fragment większej całości, przygotowanej dla wydawnictwa łódzkiego.

POLONICA

NASZE FELIETONY W MADRASIE

Jak się dowiadujemy za pośrednictwem czasopisma „Polska", wybrane felietony naszego autora, Bernarda Sztajnerta, z cyklu „Bez strachu", prowadzonego od kilku lat w „Odgłosach", drukowane być mają w czasopiśmie „Sameeksha", wydawanym w Madrasie w języku malayam. Redaktor tego pisma, Pan M. Govindan — przyjaciel i entuzjasta kultury polskiej, publikuje obok wyboru felietonów Bernarda Sztajnertą — życiorys literacki tego autora. „Sameeksha" jest periodykiem o dużym znaczeniu kulturowym, obsługującym olbrzymi obszar czytelniczy. Fakt ten jest ciekawym przyczynkiem w dziele upowszechniania współczesnego piśmiennictwa polskiego przez „Odgłosy". Przypominamy, że niedawno drukowane u nas i opublikowane w książce „Bez strachu" przez Wydawnictwo Łódzkie felietony Sztajnerta drukowane były w wyborze w sześciu językach przez miesięcznik „Polska".

WIESŁAW BRUDZIŃSKI W NRF

Znany satyryk polski, od wielu lat pracujący i publikujący w „Szpilkach", swoje utwory, znowu przekroczył barierę języka polskiego, o czym świadczy wydany na schyłku ub. roku tom jego aforyzmów „Die rote Katz" (Czerwony kot) w znanej oficynie frankfurckiej Suhrkamp Verlag. Wyboru dokonał, przełożył i posłowiem opatrzył zasłużony tłumacz literatury polskiej, Karl Dedecius. Krytycy zachodnioniemieccy uważają Wiesława Brudzinskiego za godnego następcę Stanisława Jerzego Leca, który swoimi „Myślami nieuczesanymi" zrobił karierę w Europie. Wybór W. Brudzinskiego, składający się z 620 aforyzmów, ozdobił 10 rysunkami Szymon Kobyliński, a 26 winietkami Juliusz Puchalski. Książkę wydano bardzo starannie w sztywnej okładce i glansowanej obwolucie.

jk.

„KRAKÓW, MIEJSCE NARODOWYCH PIELGRZYMEK"

W dodatku niedzielnym „Neue Zürcher Zeitung" (21 lutego br.) ukazał się reportaż o Krakowie pod powyższym tytułem, opatrzony licznymi zdjęciami, wykonanymi przez Andreasa Wolfensbergena.

W tekście pióra Erwina Märki znajdujemy rys historyczny miasta od czasów jego powstania aż do chwili obecnej. W reportażu mowa jest również o Nowej Hucie. Reportaż kończy się słowami: „Pomyślna symbioza pomiędzy wdzierającym się w życie tym, co nowe, a mocno zakorzenioną przeszłością miasta wydaje się wyznaczać najbliższe zadania Krakowa".

jk.

INFORMACJE O POLSCE

W pierwszym numerze styczniowym „Inostrannoj Litieratury" w dziale „z miesiąca na miesiąc" znajdują się trzy informacje z Polski. Pierwsza z nich dotyczy wydawnictw książkowych, które ukazały się w naszym kraju w okresie wojny i okupacji, druga — omawia film „Album polski" (informację zdobi zdjęcie z tego filmu), w trzeciej — czytamy o wystawie plastyki i malarstwa, która pt. „Przeciw wojnie i faszyzmowi" zorganizowana była w Warszawie. Informacje zawierają wiele interesujących szczegółów, które dla radzieckiego czytelnika stanowić mogą i, zapewne, stanowią garść wiadomości o wydarzeniach kulturalnych w Polsce. Przy okazji warto dodać, że informacje takie znajdujemy z reguły w każdym numerze „Inostrannoj Litieratury".

(jk)

POLONICA

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

MAG W ŚWIECIE MITU

Nieczęsto zdarza się, aby młody poeta prezentował czytelnikowi nie tom wierszy mniej lub bardziej świadomie ze sobą powiązanych, a książkę poetycką, w której każdy tekst będąc niezależnym utworem jest również fragmentem przemyślanej całości. Taką książką poetycką jest ostatni tom wierszy Jerzego Jarmołowskiego *).

Tom otwiera cykl „Zielnie", będący z jednej strony wprowadzeniem do całości i ekspozycją tego, co dopiero w częściach dalszych znajdzie pełną realizację, a z drugiej cyklem zupełnie innym niż następne — bo rządzącym się swoimi własnymi prawami, które o ile wystąpią w częściach dalszych, to jako relikty jedynie cyklu pierwszego.

Życie — mówi autor — otacza nas zewsząd, a jego przejawy trzeba po prostu umieć jedynie obserwować i interpretować. Obserwacje zaś i interpretacje prowadzą do jednego wniosku: siły przyrody mają wpływ na życie ludzkie — siły te z kolei, podobnie jak każdy przedmiot, można ożywić zabiegami magicznymi. Odpowiednimi zabiegami magicznymi, pisze autor, można więc nawet wywołać życie. Lecz stosunki takie istnieją w czystej, nieskażonej postaci tylko tam, gdzie ludzie obcują na co dzień z naturą — na wsi. I tylko tam życie jest pełne.

Część trzecia wyraża uczucia miłości synowskiej i tym uczuciom zostaje podporządkowane wszystko — również i zabiegi magiczne i mityczne schematy. Nadaje to utworom swoiste piętno: główne treści wyrażone w częściach poprzednich stają się środkami pomocniczymi przekazu i pomagają w wyrażeniu stanów irracjonalnych, które przeżywa człowiek, a które nie mogłyby być wyrażone poza poezją. Dlatego w części trzeciej nie bohater liryczny (heros) wspólny dla większości tekstów przykuwa uwagę czytelnika, i dlatego heros ów często jest traktowany przez autora ironicznie i groteskowo — choć z sympatią.

Na zakończenie wniosek dość zaskakujący: można właściwie cały tom Jarmołowskiego potraktować jako chęć nader złośliwego przeciwstawienia się klasycyzmowi. Wykorzystując bowiem schematy archaicznych wierzeń nie wprowadził (i słusznie!) ani jednej z postaci antycznego czy słowiańskiego panteonu do tomu i ani razu nie odwołał się do schematów już istniejących w literaturze od lat, a przecież w części pierwszej i trzeciej posłużył się wyłącznie pradawną formą sonetu. O jednym przecież nie należy zapominać, poeta wyraża za pomocą pewnych środków i systemów świat, który go otacza, świat współczesny, a nie którykolwiek z minionych.

*) Jerzy Jarmołowski — „Zielenie i weselnie" Wydawnictwo Literackie 1970.

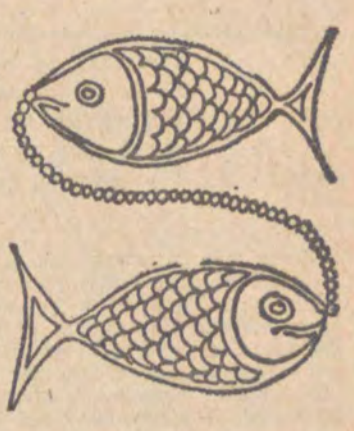

EDMUND ROSNER

O dziecku dla dorosłych

Bohaterką powieści Marleny Haushofer pt. „Niebo, które nie kończy się nigdzie" jest córeczka leśniczego, imieniem Meta (autorka również wychowała się w leśniczówce). Pojawia się ona w powieści, gdy jako dwuletnie dziecko odbywa karę w pustej beczce na „deszczówkę", a żegnamy się z nią w momencie, gdy opuszcza dom rodzinny i rozpoczyna nowy okres życia w internacie szkolnym.

Książka austriackiej pisarki przedstawia więc okres dojrzewania, znany pedagogom ze studiów psychologii rozwojowej. Temat to nienowy. A jednak książka budzi zainteresowanie i posiada różnorakie wartości.

Lektura tej niewielkiej powieści przede wszystkim uświadamia nam, jak niewiele wiemy o życiu wewnętrznym dzieci, jak rzadko dostrzegamy rodzące się rysy charakteru. Autorka zaś podpatrując swą bohaterkę wskazuje, że rysy te zaczynają się krystalizować bardzo wcześnie.

Z tego, co dotąd powiedziano, można by wyciągnąć wniosek, że książka M. Haushofer jest zbeletryzowanym wykładem z psychologii. Nic takiego. Autorka odnosi pełny sukces artystyczny, utożsamia się ze swą bohaterką, przemawia w jej imieniu. Oceniając pisarstwo M. Haushofer, w związku z jej przedwczesną śmiercią w roku ubiegłym, O. J. Tauschiński słusznie zauważył, że pisarka wciela się w swoich bohaterów i za ich pomocą wciąga czytelnika w swe własne przeżycia i lęki, które ją opanowują, gdy uświadamia sobie choroby i ułomności natury ludzkiej. Nigdy jednak nie wystawia recept. Konstatuje tylko fakty.

Dotyczy to także książek tej pisarki, których bohaterkami są dorastające dziewczęta. Wśród nich najlepszą jest zaś ta, którą przełożyła Edyta Sicińska, udostępniając w ten sposób jedną z dalszych pozycji z literatury austriackiej czytelnikowi polskiemu i to trzeba powiedzieć — dobrych pozycji.

„Niebo, które nie kończy się nigdzie" napisane jest wg wzorów dobrej prozy psychologicznej. Odrzucona została tu fabuła, ale sama technika pisarska czerpie z tradycyjnej narracji. Zaskakująca jest bystrość obserwacji autorki i to dotycząca zarówno szczegółów wewnętrznej jak i zewnętrznej rzeczywistości. Szczegóły te umie autorka wydobyć i zaakcentować, dzięki głębokiej znajomości psychiki dziecka i talentowi narracyjnemu, który zdradza rys epickiej malowniczości.

Książka posiada swoisty urok. Tkwi on chyba w bardzo kobiecym stylu, w jakim pisana jest powieść. Czytelnik odczuwa subtelność i refleksyjność natury pisarki. Urok kryje się chyba także w tym, że stosunek autorki do swej bohaterki nacechowany jest życzliwością, zrozumieniem i miłością. Dlatego książka M. Haushofer przypomina czytelnikowi jego własne dzieciństwo i dlatego też odkłada ją z zadumą i refleksją nad własnym życiem i życiem swoich dzieci.

Dorobek austriackiej pisarki — bogaty i ciekawy — dotąd znany był czytelnikowi polskiemu wyłącznie z jednego opowiadania, które ukazało się na łamach prasy. Dobrze się stało, że wydawnictwo „Czytelnik" sięgnęło do twórczości pisarki ze Steyer. Dokonano też dobrego wyboru, proponując jedną z najlepszych książek Haushofer. Warto jednak przy okazji zasugerować przekład najdojrzalszego dzieła tej pisarki — jej powieści „Die Wand".

Przekład E. Sicińskiej — dobry.

Przeszłość i teraźniejszość

Mniemana Baronowa czyli dawny plotkarz warszawski

Kiedy w październiku 1885 roku krakowski „Czas" jął ogłaszać „Listy do przyjaciółki" podpisane przez „Baronową XYZ", w Warszawie zdano sobie od razu sprawę z tego, że jest to sensacja. Władze czym prędzej zakazały kolportażu popularnego dziennika i z napięciem wsłuchiwały się w echa, jakie obudziła ta osobliwa publikacja. Dla celów urzędowych tłumaczono ją nawet na język rosyjski, bowiem szef Warszawskiego Komitetu Cenzury pragnął wiedzieć, co napisano w niej, zwłaszcza o rosyjskim „towarzystwie" stołecznego miasta. Dwa lata później dziełko pod tytułem: „Towarzystwo Warszawskie. Listy do przyjaciółki przez Baronową XYZ" ukazało się w wydaniu książkowym i docierając do Królestwa różnymi drogami budziło najwyższe zainteresowanie. Snuto najróżniejsze domysły na temat jego autora, ale nie potrafiono go zidentyfikować. Komuż by przyszło do głowy, że ową „Baronową", jest popularny w kręgach literackich i dziennikarskich Warszawy Antoni Zaleski, zwany przez przyjaciół „Antkiem"?

„Dziennikarz znakomity — pisała o nim córka redaktora „Gazety Polskiej" Anna Leo — orientujący się świetnie w sytuacji politycznej, zatopił w pracy publicystycznej talent literacki. Wydał za życia wrażenia „Z podróży na Wschód", odbytej z Sienkiewiczem, i jeszcze jedną książkę, która narobiła wielkiej wrzawy, a o której autorstwo nikt go nie posądzał. Było to „Towarzystwo Warszawskie. Listy Baronowej XYZ", rzecz jak najsurowiej zakazana przez cenzurę, ale która rozeszła się w Warszawie w niezliczonych egzemplarzach. By mieć pojęcie o towarzyskich politycznych i społecznych warunkach życia Warszawy w dwóch ostatnich dziesiątkach XIX wieku, trzeba koniecznie znać te „Listy". Jest w nich cały dar obserwacyjny Zaleskiego, cały humor i spryt jego, ten spryt dziennikarski, który pozwalał mu zbadać kulisy i tajny mechanizm każdej sprawy. Ale jest to też jego wierne, gorące serce, które umiało cenić przyjaźń i podziw, i wielka jego skromność, która kazała „Baronowej XYZ" przemilczeć, mówiąc o dziennikarzach tej epoki, działalność Antoniego Zaleskiego".

Otrzymujemy dziś pierwsze krytyczne wydanie „Towarzystwa Warszawskiego", opatrzone już prawdziwym nazwiskiem jego autora, opracowane przez znanego badacza dziejów Warszawy Ryszarda Kołodziejczyka (PIW, 1971). Opatrzył on dzieło obszernym wstępem oraz szczegółowymi komentarzami, wyjaśniającymi tekst Zaleskiego tam, gdzie był on celowo nieraz „zaszyfrowany", zrozumiały jedynie dla wtajemniczonych. Czy wszystkie zagadki tekstu zostały już rozwiązane? Niechybnie nie, ale rozwikłał ich R. Kołodziejczyk mnóstwo, inne zaś — czy w ogóle dadzą się wyjaśnić bez specjalnych szczegółowych badań? Mniejsza jednak o to — otrzymaliśmy przepiękną, przebogatą w treść książkę o życiu politycznym i kulturalnym Warszawy w okresie triumfów idei „pracy organicznej", w dobie, gdy działały nieprzeciętne indywidualności, znane dziś już często tylko z solennych podręczników, tu przedstawione w świetle dnia codziennego, tak, jak widział je wnikliwy i nie pozbawiony poczucia humoru obserwator.

Na „Towarzystwo" składa się osiem listów. Pierwszy — najbardziej złośliwy w tonie — opowiada o „Zamku i jego mieszkańcach", przynosi barwne portrety czołowych przedstawicieli carskiej elity politycznej w Warszawie. Drugi uzupełnia go portretami mniejszych osobistości rosyjskich, trzeci dotyczy warszawskiego „ciała dyplomatycznego". Następne — mniej sensacyjne dla współczesnych, ale równie interesujące, dotyczą już polskiego „towarzystwa". Od ogólnej prezentacji życia towarzyskiego stolicy przechodzi Zaleski do przedstawienia co wybitniejszych osobistości z warszawskich sfer arystokratycznych, finansowych, przemysłowych, mieszczańskich, by skończyć na palestrze i polskich urzędnikach w służbie rosyjskiej. Najbarwniejsze są jednak listy szósty i siódmy. Pierwszy z nich dotyczy „cenzury i dziennikarstwa", charakteryzuje wnikliwie warunki pracy publicystycznej w stolicy, przynosi charakterystykę poszczególnych organów prasowych oraz ich głównych autorów i redaktorów. Znajdujemy tu więc portrety Józefa Keniga, Wacława Szymanowskiego, Władysława Bogusławskiego, Bolesława Prusa, Edwarda Leo, Aleksandra Rembowskiego i wielu innych, wśród nich zaś oczywiście także przyjaciela autora — Henryka Sienkiewicza. Kolejny list opowiada o „teatrze i życiu artystycznym w Warszawie", właściwie głównie o życiu teatralnym stolicy za dobrych lat pod rządami prezesa Muchanowa, i znacznie już gorszych, za jego następców. Całość zamyka krytyczny „Epilog" podsumowujący rozważania autora, zdradzający wyraźnie jego polityczne sympatie i antypatie. Nie były to czasy, kiedy można było w Warszawie snuć optymistyczne nadzieje na przyszłość. Nie ma też w dziele Zaleskiego wiele optymizmu. Jest jednak głębokie przekonanie, że „gwałt o zadośćuczynienie zawoła i modus vivendi dla społeczeństwa polskiego, którego większość jego jest dziś pozbawioną, wynaleźć się musi".

JÓZEF GRZELAK

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Czajka" i nowe formy

J. Zbiróg, F. Żukowski i M. Kozierska w „Czajce".

Potrzebne są nowe formy. Nowe formy są potrzebne, a jeżeli ich nie ma, to już lepiej, żeby nic nie było.

ANTONI CZECHOW — „Czajka"

Jerzy Grzegorzewski nie wypada z roli artysty, który niezmiennie szokuje łódzkich bywalców teatru. Po kontrowersyjnym „Weselu" i „Irydionie" przyszła kolej na „Czajkę" Czechowa. Sztukę tę grano już po wojnie na tych samych deskach Teatru im. Jaracza w reżyserii Stefanii Domańskiej (prem. 30. X. 1954). Zapamiętałem to przedstawienie jako czyste, poprawne i... śmiertelnie nudne.

A na przedstawieniu obecnym w inscenizacji Grzegorzewskiego nie nudziłem się. Słyszałem natomiast w przerwach głosy, zarzucające reżyserowi, że sprzeniewierzył się Czechowowi. Zaraz, zaraz! Odpowiedzmy sobie najpierw na pytanie, jakiemu to Czechowowi sprzeniewierza się Grzegorzewski? Temu krążącemu po polskich scenach, wystawianemu jako replika klasycznej i doskonałej interpretacji moskiewskiego MHATu? Z pewnością. A może temu, który domaga się nowych form w teatrze? Na pewno nie!

Zastanówmy się przez chwilę nad węzłowym dylematem współczesnego teatru: którędy przebiega granica między tym, co dozwolone i tym co powinno być zakazane inscenizatorowi sięgającemu po repertuar klasyczny? Nie tak dawno wiele sporów i wątpliwości budził „Kordian" w inscenizacji Adama Hanuszkiewicza. Mniejszy szok wywołał wystawiony przez tegoż Hanuszkiewicza „Hamlet". A przecież był to „Hamlet" odbiegający daleko od zrealizowanych przed nim tysięcy, czy dziesiątków tysięcy „Hamletów"!

Nie popełnię błędu, stwierdzając, że wielka literatura dramatyczna nic nie traci na swej wartości w zderzeniu z najbardziej nawet kontrowersyjnymi zabiegami inscenizacyjnymi. Niesie ona w sobie dostatecznie dużo luzów interpretacyjnych, anektuje i podporządkowuje sobie a priori wszystkie przyszłe kształty sceniczne, jakie zechce jej nadać teatr. Prof. Stefania Skwarczyńska stwierdza w swej najnowszej książce, że wielki dramaturg rządzi swym dziełem tak, jak się rządzi „z najwyższego szczebla":

> „Na tyle szeroko, na tyle ogólnie, aby z jego ustaleń mogły się prawidłowo rozwinąć przeróżne realizacje teatralne, które bliżej określi odmienny moment rozwoju konwencji i techniki teatralnej, odmienny moment społeczno-historyczny, odmiennie w tym typie historycznym uformowany człowiek — artysta teatru".

Wierność teatru wobec klasycznego dramatu nie polega więc na przymierzaniu się do jakiegoś idealnego, ponadczasowego wzorca. Każda epoka szuka rozwiązań scenicznych zgodnych ze swymi doświadczeniami intelektualnymi i artystycznymi. Nic innego nie robi Grzegorzewski, jak tylko próbuje nadać „Czajce" kształt sceniczny współbrzmiący z wątpliwościami i i poszukiwaniami, jakie przeżywa teatr dzisiejszy.

A w dodatku zaprasza go do tego eksperymentu sam Czechow słowami Konstantego Trieplewa:

> „...według mnie zaś — współczesny teatr to rutyniarstwo i przesąd. Kiedy podnosi się kurtyna i przy wieczornym świetle, w pokoju o trzech ścianach, te wielkie talenty, kapłani świętej sztuki, przedstawiają, jak to ludzie jedzą, piją, kochają, chodzą, noszą swoje surduty; kiedy z banalnych obrazów i zdań starają się wyłowić moralną naukę: ciasną, zrozumiałą i przydatną do użytku domowego; kiedy w tysiącznych wariantach podają mi wciąż jedno i to samo, wówczas uciekam, uciekam podobnie jak uciekał Maupassant przed wieżą Eiffla, której banalność go przytłaczała".

Odrzućmy więc zarzut, że Grzegorzewski sprzeniewierzył się Czechowowi i spróbujmy prześledzić, w jaki sposób realizuje swą własną wizję „Czajki"! Reżyser rezygnuje z budowy sytuacji w wymiarze obiektywnym. Odrzuca też kanony obiegowej logiki. Strukturę swego widowiska kreuje z nierealistycznej scenerii, akordów muzycznych, skomplikowanych skojarzeń intelektualnych, ruchu scenicznego, nie podporządkowanego doraźnym celom i z rysunku postaci. Ten ostatni element funkcjonuje w tym zakresie, w jakim aktorzy nadążają za jego koncepcją. Znaczna bowiem część wykonawców w tak zakreślonych ramach konkretyzuje swoje postacie w sposób tradycyjny, co tworzy oczywiste pęknięcie w całości przedstawienia. Ale o tym później!

Jedną z zasadniczych warstw „Czajki" Czechowa stanowi dyskurs o teatrze i literaturze. Dla Konstantego nie jest on zwykłą profesjonalną polemiką, ale widzeniem świata, walką o ideały, o sens życia, o ukochaną kobietę. W jego subiektywnym odbiorze zmieniają się proporcje spraw, deformuje rzeczywistość. Wychodząc z tych założeń, Grzegorzewski umiejscawia sceny i sytuacje życiowe na planie urojonego teatru, który rozgrywa się w wyobraźni Konstantego. To pozwala mu w każdym momencie wstrzymać ich realistyczny bieg i nadać im sens subiektywny.

W takim ujęciu mieści się znakomicie upodobnienie sceny nieudanego przedstawienia w pierwszym akcie do spektaklu, jaki zgotował w Elsynorze królowi Klaudiuszowi i swej matce Gertrudzie królewicz Hamlet. Skojarzenie to nasunęło się reżyserowi w związku z tym, że to z woli Czechowa Arkadina i Konstanty tuż przed rozpoczęciem przedstawienia przerzucają się żartobliwie szekspirowskim tekstem. Walka przeciw tradycyjnemu spojrzeniu matki na sztukę teatru i przeciw jej romansowi z modnym pisarzem Trigorinem nabiera więc w odczuciu Konstantego (tego w przedstawieniu Grzegorzewskiego) cech hamletowskich. Reżyser pogłębia to, sugerując niemal kazirodczy charakter uczuć między Arkadiną i jej synem.

Decydującym czynnikiem w odrealnieniu czechowowskiego świata jest w przedstawieniu Grzegorzewskiego muzyka Stanisława Radwana. Jakby pod jej dotknięciami przestrajają się i subiektywizują sytuacje sceniczne. Ona punktuje i wyznacza jak metronom rytm węzłowym scenom. Jej spójność z dekoracją zaprojektowana przez samego reżysera jest wręcz idealna. Obraz wizualny sceny — ze spiętrzonymi korpusami fortepianów, klawiaturami i metalowymi strunami — oraz obraz akustyczny tworzą dla siebie nawzajem naturalne przedłużenie.

Mimo, że zespół Teatru im. Jaracza od kilku lat ma okazję stykać się w pracy z koncepcjami scenicznymi Jerzego Grzegorzewskiego, mimo, że szereg przygotowanych przez niego przedstawień spotkało się z ogólnokrajowym uznaniem, aktorstwo jest wciąż jeszcze najsłabszym ogniwem w jego inscenizacjach. Wygląda na to, że zespół nie chce do końca uwierzyć reżyserowi i szukać indywidualnych rozwiązań aktorskich współbrzmiących z całością widowiska. Może to wypływać także z tego, że Grzegorzewski realizuje swoje bogate semantycznie wizje na przekór stereotypom i przyzwyczajeniom, zmusza aktora do innego typu myślenia.

Poddanie się tym rygorom nie przychodzi snadź łatwo. Świetne np. aktorstwo zaprezentowane przez Feliksa Żukowskiego w roli Sorina ulokowane jest jak gdyby obok wizji Grzegorzewskiego. Dotyczy to w pewnym stopniu także Marii Kozierskiej jako Arkadiny. Stosunkowo najbliższymi koncepcji reżysera, choć ustępującymi tej pierwszej wymienionej parze aktorsko, są Stanisław Kwaśniak (Konstanty) i Grażyna Marzec (Zarieczna). Nieomylnie natomiast trafia w ton podany przez Grzegorzewskiego dla całości widowiska Ewa Mirowska w roli Maszy. Dzięki temu postać ta w przedstawieniu niesie znacznie więcej treści, niż by to wynikało z dosłownego odczytania tekstu.

Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, czy każdemu miłośnikowi teatru zalecać pójście na „Czajkę", zawahałbym się. Przedstawienie jest z pewnością trudne w odbiorze, wielowarstwowe, operujące metaforą i znakiem. Zaskakiwać może widza w całości potraktowania tekstu Czechowa jak i w szczegółach (np. pokazanie Zarieczne na wpół nagiej, które wytłumaczyć chyba można w sferze marzeń Konstantego). Widza, który nade wszystko ceni sobie swoje nawyki i szuka w teatrze powielania znanych wzruszeń, przestrzegam przed tym przedstawieniem. Tego zaś, który otwarty jest na intelektualną i artystyczną przygodę, zachęcam do pójścia.

Teatr im. Jaracza: Antoni Czechow „Czajka", przekład — Artur Sandauer, reżyseria i dekoracje — Jerzy Grzegorzewski, muzyka — Stanisław Radwan, kostiumy — Krystyna Kamler.

ADAM OCHOCKI

BRAT KIEPURY

Dopiero kilka tygodni pracowałem w „Expressie", a już zdążyłem narazić się szefowi. I to jak! Licho mnie podkusiło sfotografować płynące po stawie flamingi. A ponieważ mój „Rolleiflex' miał format 6 x 6 i na takich odbitkach niewiele było widać, zrobiłem powiększenia na modnym wówczas papierze kremowym „chamois". Gdy z dumą demonstrowałem je kolegom w redakcji, wszedł redaktor Ołtaszewski. Wziął fotografię i wyciągnąwszy przed siebie rękę charakterystycznym ruchem dalekowidza, uśmiechnął się zjadliwie.

— Ho, ho! Już pan robi artystyczne powiększenia? Nie za wcześnie? To pana charakteryzuje!

Potem popełniłem jeszcze większe faux-pas. Uszyłem sobie ubranie z czarno-białej pepitki. Spotkawszy mnie na korytarzu, Ołtaszewski zasłonił ręka okulary.

— Panie! Co to jest?! Miga mi przed oczyma, nie mogę na pana patrzeć!

Jeżeli z tymi fotografiami miałem pewne wątpliwości, czy szef aby nie przesadza, to w drugim wypadku wyzbyłem się ich całkowicie. Naczelny „Republiki", Czesław Ołtaszewski, uchodził w sferach artystyczno-towarzyskich za arbitra elegantiarum i był nim w istocie. Wysoki, przystojny, zawsze wyprostowany jak trzcina, ubierał się u najdroższych krawców w Łodzi (Gelassen i Kazimierski!) i miał dobry gust. Na pewno więc dokonałem niewłaściwego wyboru, ale co robić, gdy ta pepitka tak mi się podobała!

Podpadłem też drugiemu po Bogu — redaktorowi Polakowi. Był on moim bezpośrednim, a właściwie jedynym przełożonym, zwłaszcza w początkowym okresie, gdy pisałem tylko dla „Expressu". Po wyjeździe mego brata do Warszawy, wakującego stanowiska sekretarza redakcji nie obsadzono, nie było widać potrzebne. A że kierowników działu jako takich w ogóle jeszcze nie znano, więc wszystko, co spłodziłem, zanosiłem redaktorowi Polakowi. Nie posyłałem przez gońca, lecz sam zanosiłem, żeby odpowiednio zareklamować swój towar. Drzwi gabinetu Polaka dla lepszej izolacji od otoczenia były wypchane watą i obite od zewnątrz skórą. Jak każe dobry obyczaj, zawsze pukałem, ale ponieważ od dzieciństwa mam przytępiony słuch w wyniku przebytej operacji — odpowiedzi nigdy nie słyszałem. Chcąc sprawdzić czy u redaktora nikogo nie ma, albo czy nie rozmawia telefonicznie, zaglądałem przez dziurkę od klucza i w ten sposób miałem dokładne rozeznanie. Ktoś mnie kiedyś zauważył schylonego, w charakterystycznej pozycji i nie omieszkał zakapować przed Polakiem. Ten obsztorcował mnie na perłowo:

— Panie! Jak jeszcze raz będzie mnie pan podglądał, to pana spławię!

To był jego ulubiony zwrot: „Ja pana spławię!", często zresztą wypowiadany bez specjalnej złości, a ja wtedy spłonąłem ze wstydu i słowa nie mogłem z siebie wydobyć. Na odwagę zebrało mi się dopiero po dwudziestu pięciu latach. W roku 1956 jako pracownik nowego „Expressu" udałem się do Australii, by po długim okresie niewidzenia zobaczyć mego kuzyna, Stefana Kałuszynera, przedwojennego redaktora sportowego „Expressu", a przy okazji — Olimpiadę w Melbourne. Przyleciał tam specjalnie z Sydney redaktor Polak, koniecznie chciał się ze mną spotkać.

— Panie Władysławie — powiedziałem, gdy już nagadaliśmy się do syta — pamięta pan, jak mnie pan kiedyś obciapał, że pana podglądam? Wtedy przez dziurkę od klucza... Od dziecka nie słyszę na prawe ucho, zaglądałem do pokoju, żeby się upewnić, czy nie jest pan zajęty...

Popatrzał jakoś dziwnie, uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „No, dobra, dobra", ale zdaje się — nie uwierzył.

Nie bardzo też szła mi robota. Po debiucie w konkurencyjnym „Głosie" bombą o żonie przegranej w karty przez przemysłowca — karta wyraźnie odwróciła się ode mnie. Jak na złość sensacje przechodziły mimo, zresztą skąd je miałem brać, gdy teren działania ograniczono mi niemiłosiernie? Do policji chodzić ani dzwonić nie wolno, od tego jest Grunfeld, tak samo mam omijać wszystkie pogotowia ratunkowe, a sądy robi wujcio Askanas. Co ciekawsze agendy magistrackie też były obsadzone, a spróbuj upolować jakąś bombę w cechu kamaszników czy w stowarzyszeniu dorożkarzy! Poza tym — nie zawsze przecież kupcy i przemysłowcy grali w karty o swe żony i nigdzie nie było powiedziane, że ich zdjęcia muszą zdobić nasz rodzinny album fotografii!

Redaktor Polak pokładał we mnie nadzieje.

— Nam właśnie potrzebny jest młody reporter, kawaler, jak pan. Niech pan jak najwięcej chodzi po mieście i zbiera wiadomości. Specjalistów od telefonu mamy sporo — powiedział, gdy przyjmował mnie do pracy.

O stałej pensji redaktor jakoś nie wspomniał. A ja nie upominałem się, uważając to za zupełnie normalne: przecież w agencji prasowej „Polpress", skąd przyszedłem, też nie miałem żadnego uposażenia, płacono mi w dodatku po półtora grosza od wiersza, gdy w „Expressie" dostawałem dwa razy tyle! Poza tym — co też nie było bez znaczenia — firma ubezpieczyła mnie, korzystałem ze świadczeń w razie choroby, płacono mi za urlop, tyle tylko, że podstawę do obliczenia średnich zarobków stanowiła goła wierszówka.

Moje kawałki częściej trafiałyby na łamy „Expressu", gdyby nie Adam Górski, sekretarz redakcji „Republiki". Żeby nie było dublowania z poranną gazetą, redaktor Polak posyłał mu do przejrzenia cały przeznaczony dla popołudniówki materiał. A przez to sito mało co się przedostawało. Jeżeli kawałki były słabe, Górski pisał na marginesie maszynopisów „do dupy", a Polak wierzył mu bezgranicznie; jeżeli były dobre, a ktoś z „Republiki" już zaanonsował je Górskiemu, ten zawiadamiał Polaka, że ma to samo; natomiast gdy były dobre, a pracownicy „Republiki" tego nie zgłosili — Górski wzywał Bolka Rawicza i zmywał mu głowę, dlaczego „Express" ma, a „Republika" nie. Otrzymawszy taki cynk Bolek, wiedząc już o co chodzi, dzwonił po szczegóły, al-

ANDRZEJ GRUN

CZTERY DAMY POŚRÓD TKANIN

Powracanie do wystawy „Konfrontacje" w Muzeum Włókiennictwa sprawia mi dużą przyjemność, jak bywa zresztą zawsze, gdy powraca się myślą do tych dzieł sztuki, które wywarły głębsze wrażenie. Całość ekspozycji składa się z czterech wystaw indywidualnych, prezentujących prawdziwe i bardzo różne osobowości artystyczne. Są to: Marfia Dundakowa z Sofii, Barbara Latocha, Maria Łaszkiewicz i Teresa Muszyńska — z Warszawy. Te cztery wystawy połączone są wspólnymi węzłami dialogów, jakie toczą między sobą nad kształtem współczesnej tkaniny, nad jej miejscem wśród innych dyscyplin sztuki, jej miejscem w codziennym życiu.

Ciąg ekspozycyjny otwierają pełne subtelnego nastroju i mądrej symboliki prace nestorki polskiego tkactwa artystycznego, **Marii Łaszkiewicz.** Jej kompozycje zawierają w sobie coś więcej, niż zwykle od tkaniny oczekujemy — służą nie tylko dekoracji, nie tylko organizują przestrzeń, wprowadzając materiał i barwę, ale zdają się wyrażać językiem symbolu pewne prawdy ogólne. Przywodzą na myśl jakieś chorągwie obrzędowe, może prawosławne.

Tkaniny o barwach stonowanych, złączone z drewnem sugerującym ni to ikonę, ni to maskę obrzędową — dwa pierwotne tworzywa spojone z sobą nie na zasadzie kontrastu, a jedności w kostium, w znak, w obraz...? Mam pretensję do projektanta ekspozycji, że odarł je z tych nastrojów, które są ich integralną częścią składową, pokazując je w ostrym, zimnym świetle jarzeniówek.

Maria Łaszkiewicz ma za sobą długą i bogatą drogę twórczą. Studiowała w Rydze, w Monachium, w Paryżu. Szlachetną sztukę rysunku zgłębiała w Academie de la Grande Chaumiere, rzeźby uczyła się u samego Bourdelle'a. Laureatka wielu nagród i wyróżnień. W 1963 roku na Międzynarodowym Konkursie Instytutu Projektantów Wnętrza (AID) w Chicago otrzymała złoty medal. W 1959 odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi.

Nietypowe również tkaniny — choć problematyczne to, czy dziś „tkanina nietypowa" jest określeniem mającym już jakikolwiek sens — prezentuje **Teresa Muszyńska,** absolwentka szkoły łódzkiej (dyplom w 1964 r.). Ekspozycja jej kompozycji to pełen poezji, uroku i niespodzianki spektakl. Tkaniny Muszyńskiej zapraszają wręcz przestrzeń, światło we wszystkich jego barwach i odcieniach, muzykę, słowo i widza do uczestnictwa, do złączenia w jedną, wspólną całość. Autorka nazywa je chatafami, które to słowo stanowi skrót angielskiej nazwy Changing Tapestry Forms, tłumaczącej się jako „zmienne formy tkackie". Nazwa trafnie wyjaśnia zasadę. Muszyńska z włókien kokosowych i sizalowych tka i wiąże przestrzenne formy, rzeźby bogate w faktury, zróżnicowane w swym kolorycie — tworzywo przecież pozwala dowolnie się barwić i dowolnie nawarstwiać, stwarzając powierzchnie łagodne i brutalne, spokojne i pełne ekspresji. Owe tkanino-rzeźby można swobodnie komponować zarówno w przestrzeni, jak i w stosunku do samych siebie, można obserwować ze wszystkich stron, spiętrzając efekty odpowiednim oświetleniem. Chatafy są drugim etapem w twórczości Muszyńskiej. Wyszła od gobelinów-reliefów, robionych grubymi, zróżnicowanymi splotami, gobelinów, w których rolę nadrzędną odgrywała faktura. Chatafy są logiczną kontynuacją. Cierpliwe ręce i wyczulone na kolor oko pozwalają Teresie Muszyńskiej powoływać do życia przedmioty piękne i poruszające, stwarzać dzieła sztuki pozostawiające ślad w pamięci.

Inny zupełnie typ tkaniny prezentuje gość z Bułgarii, **Maria Dundakowa,** absolwentka akademii w Sofii (dyplom w 1966 r.). Z wykształcenia i temperamentu jest malarką, malarką z wyraźnymi inklinacjami do monumentalizmu i ekspresji. Posiada na swoim koncie kilka poważnych realizacji malarstwa ściennego. Od roku 1968 specjalizując się w Pradze w zakresie gobelinu, styka się jednocześnie z nową techniką wykonywania tkanin zwaną „art-protis" a polegającą na maszynowym zszywaniu ułożonych uprzednio pasm barwnej czesanki lub innego tworzywa. Technika ta daje nieograniczone wręcz możliwości w stosowaniu koloru, a przejścia barw i tonów są łagodne, malarskie, jak „spod pędzla". Malarski temperament Dundakowej znalazł tu bardzo stosowne dla siebie tworzywo i dogodny sposób jego obróbki. Powstają tkaniny-obrazy, nasycone kolorem, ekspresyjne, niepokojące dynamiczną kompozycją, działające w architektonicznej przestrzeni barwą i ruchem. Dundakowa skłania się w kierunku sztuki bezprzedmiotowej, ale elementy, z których buduje swe tkaniny-obrazy przywołują skojarzenia z realnymi przedmiotami (na przykład opadający, jesienny liść), albo z nastrojem konkretnych sytuacji (pora roku, pejzaż). Sztuka jej pełna poezji i w gruncie rzeczy bardzo literacka właśnie przez wielość skojarzeń, jest równocześnie bardzo dekoracyjna, a miejscem jej, bez wątpienia, jest współczesna architektura.

Czwarta, zamykająca ekspozycję wystawa, to akord cichy, czysty i wyraźny. Wyobraźnia pobudzona przez niby-chorągwie Marii Łaszkiewicz, chatafy Muszyńskiej i szalony taniec barw Dundakowej doznaje nagle uspokojenia. Tkaniny **Barbary Latochy,** tradycyjne, lecz piękne w kolorze, dyskretne i ciepłe, nie są wcale w kontekście poprzednich czymś niestosownym, nudnym, niepotrzebnym. Właśnie ruch, niepokój, krzyk, bogactwo tamtych, pozwalają doskonale i prawdziwie ocenić piękno jej prac. Ich szlachetną, wyciszoną godność...

W sumie „Konfrontacje" były pokazem nader udanym. Mogłyby być jeszcze piękniejszym, gdyby przydać im inną oprawę.

Napisałem w tytule — cztery damy pośród tkanin. Popełniłem błąd, bo są nie cztery damy, a pięć. Piątą jest dyrektor Muzeum Włókiennictwa, pani **Krystyna Kondratiuk,** której zawdzięczamy ostatnio coraz więcej ciekawych, dobrych, na miarę miasta i na miarę muzeum — ekspozycji.

Teresa Muszyńska — „Chataf księżycowy".

Kuflem w ŁZG

W wielkomiejskim pejzażu Łodzi budka z piwem stała się przekleństwem okolicznych mieszkańców. Stanowi ona z reguły salon, gdzie obowiązują rynsztokowe maniery. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że bramy i klatki schodowe domów sąsiadujących z tymi przybytkami, pachną nie tyle chmielem, co cuchną azotem. Lokatorzy piszą petycje do władz, protestują, wnoszą prośby błagalne, interweniują, klną, by w końcu — zrozpaczeni i bezsilni — dać spokój. Budki z piwem są twierdzami nie do obalenia. Handel tym napojem jest rzeczą intratniejszą niż ajencja stacji benzynowej i w tym tkwi cała tajemnica ich uporczywej egzystencji.

Ilustracją tego problemu (bo to naprawdę poważny problem) jest pijalnia piwa przy Piotrkowskiej, obok naszej redakcji. Sławetny ten lokal jest hańbą miasta. Mimo wielokrotnej interwencji łódzkiej prasy, nie ma siły, żeby piwiarnię zlikwidować. Niejeden kufel atramentu i farby drukarskiej już zużyto, pisząc krytycznie o tej świątyni chmielowego obrządku. Bez skutku! Dalsze jej egzystowanie jest ewidentną obrazą mieszkańców naszego miasta. Miała być zlikwidowana z chwilą otwarcia pijalni „Pod kuflem", ostała się jednak, trwa nadal. Ludzie odpowiedzialni za ten stan rzeczy kpią sobie ze społeczeństwa w żywe oczy. Trudno sobie ten upór wytłumaczyć, albowiem nasza gastronomia w innych wypadkach nie jest znów tak dbała o swoją klientelę. Chociaż... ostatnio rozeszły się pogłoski, jakoby cysterny z piwem miano instalować w różnych punktach miasta. Piwo pite w nadmiarze prowadzi do zwykłego ogłupienia alkoholowego. Na razie o kulturalnym spożywaniu tego trunku możemy sobie snuć tylko senne marzenia. W tej sytuacji na wieść o cysternach blady strach człowieka ogarnia. Jak dotychczasowa praktyka wykazuje, rzadko tym smacznym napojem gaszą pragnienie spokojni przechodnie, a raczej zaprawiają się nim chuligani.

Na wiadomość, że ma zostać otwarta pijalnia piwa na Teofilowie, obok restauracji „Zulana", który to lokal w krótkim stosunkowo czasie zdobył sobie na osiedlu sławę równą „Casanovie", tutejsi mieszkańcy wpadli w popłoch i trwogę. Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek, w miejsce pijalni będzie tu otwarty sklep z pasmanterią.

R. B.

bo i nie, i po paru minutach przynosił w zębach tę samą informację, a mój kawałek lądował w koszu. Nawet nie miałem tej satysfakcji, żeby naczelny go tam wrzucił. Szkoda było drogi, w koszu Górskiego zawsze znalazło się wolne miejsce. Sekretarz redakcji „Republiki" bezlitośnie obchodził się z materiałem dla „Expressu". Szczerze nie lubił naszej popołudniówki, jakby nie wiedział, że stanowi ona przecież poważną pozycję w bilansie wydawnictwa po stronie „ma".

Wszyscy mieliśmy respekt dla Górskiego i chyba baliśmy się go. Był surowy, wymagający, krzyczał na nas przy lada okazji. Gdy po raz pierwszy zjawiłem się w jego gabinecie, przyprowadzony za rękę przez redaktora Polaka, opromieniała mnie sława owej historii karcianej Markus-Kleinman. Górski, gdy Polak powiedział kilka pochlebnych słów na mój temat, popatrzał na mnie jakoś ciepło, tak mi się przynajmniej zdawało, i rzekł:

— Chciałbym się z panem zamienić...

Uśmiechnąłem się zadowolony i skłoniłem głowę. W ustach tak znakomitego dziennikarza zabrzmiało to jak największa pochwała, hołd niemal. A on dokończył:

— ..Ale od pasa. W dół.

„Stary" (tak na niego wołaliśmy) miał wówczas nie więcej niż trzydzieści osiem lat, na Piotrkowskiej 62, w kawalerce, mieszkał ze swą przyjaciółką — i czego on mi właściwie zazdrościł?

A gdy wychodziłem z jego gabinetu, rzucił w ślad za mną:

— Brat Kiepury...

Nietrudno było rozszyfrować zjadliwy przytyk. Mój starszy brat, Lutek, był jednym z najlepiej notowanych dziennikarzy w wydawnictwie, był sławnym „Kiepurą", a ja tylko bratem Kiepury, Ladisem, żyjącym w cieniu sławy starszego brata, Jana. I tak już zostało: brat Kiepury. Jedynie wówczas, gdy koledzy czy szefowie zwracali się do mnie bezpośrednio, tytułowali mnie „Panie Kiepura" — krócej i poręczniej.

Starałem się niczym nie narazić Górskiemu, zarobiłem już krechy u dwóch naczelnych. Wyczuwałem jednak z jego zachowania, że mnie nie lubi. Niebawem miałem okazję przekonać się o tym namacalnie.

To było tak. Do „Republiki" przychodziły codziennie biuletyny trzech łódzkich agencji prasowych. Zawierały one między innymi krótkie, lakoniczne doniesienia o drobnych kradzieżach. Tego materiału nikt nigdy nie dawał, a mimo to „Polpress", WAP i BIP, uparcie zamieszczały go w swych biuletynach. Wpadłem na pomysł: gdy te notatki zaopatrzy się w dowcipne wierszyki, będą strawne i „Express" chyba z nich skorzysta. Pierwszych informacji na próbę użyczył mi Adaś Grunfeld, a ja uruchomiłem warsztat poetycki. Wyszło mi to tak: najpierw szedł dwuwiersz złożony na kursywę garmond: „Nie odbieraj naszym chleba, cudzoziemca okraść trzeba", a pod tym tłustym petitem: „Ignacy Węgier zameldował w policji o kradzieży drobiu w jego domu przy ul...." Innowacja spodobała się, sam Ołtaszewski zachęcił mnie do kontynuowania tej rubryki. Ale gdy poszedłem do Górskiego po te nieszczęsne, nikomu nie potrzebne, kradzieżówki, oświadczył krótko:

— Nie będę panu dawał żadnych wiadomości, niech mi pan głowy nie zawraca!

Czując w Ołtaszewskim swego sprzymierzeńca, pobiegłem do niego na skargę.

— Pan mu powie, że kazałem panu brać od niego te kawałki — odesłał mnie szef z powrotem do Górskiego.

— Redaktor Górski jest w złym humorze... Może pan redaktor sam.. — wykręcałem się dyplomatycznie.

Ołtaszewski czekał chyba na kogoś, był podenerwowany. Pociągnąwszy mnie za sobą pobiegł do Górskiego.

— Panie! — zawołał w progu jego gabinetu. — Niech pan mu daje te pierdoły i żebym już więcej o tym nie słyszał!

Wybiegłem razem z Ołtaszewskim, ale i tak po paru chwilach znalazłem się oko w oko z Górskim. Wszedł do mego pokoju i czerwony jak burak stanął, sapiąc, przede mną.

— Tej walki pan ze mną nie wygra! Niech pan to sobie zapamięta. Kiepura!

Jakoś w tym czasie wyjechałem na swój pierwszy urlop do Zakopanego. I tam, wśród smreków, strumieni górskich i regli, napisałem długi wiersz, ale bynajmniej nie liryczny. Oto jak się zaczynał:

Wśród plejady dziennikarzy
Każdy przyzna, rad czy nie rad,
Najzdolniejszy jest pan A.G.,
Geniusz myśli i literat.
Estetetryk stylu, piękna,
I łamania sztuki takoż,
Zżyma się, gdy widzi „Express"
Bo doprawdy — taki smakosz.

I tak dalej w tym guście. Wiersz zdecydowanie lichy, w dodatku zbyt wyraźnie było w nim widać wpływ Tuwima. Te „rad czy nie rad" i „literat", tudzież owego „estetetryka" żywcem ściągnąłem z „Jarmarku rymów". Ale ulżyłem sobie znakomicie, odprężyłem się, co jak wiadomo, na urlopie jest rzeczą bardzo wskazaną. Pasztet włożyłem do koperty, zakleiłem i napisałem adres: *„Szanowny Pan Redaktor Czesław Ołtaszewski, Łódź, ul. Piotrkowska 49, „Republika".*

Gdy po dwóch tygodniach zjawiłem się w redakcji, jeden z kolegów, bodaj Grunfeld, odciągnął mnie na stronę.

— I po co pan to zrobił? Pański list Ołtaszewski zaniósł Górskiemu. Powiedział: „Donosy ja oczen' lubliu, no donoszczikow stierpiet' nie mogu!" Ale nawarzył pan sobie piwa....

Oczekiwałem najgorszego, ale Ołtaszewski nie powiedział mi ani słowa, jak zwykle grzecznie odkłaniał się, a i Górski niczego nie dawał poznać po sobie, nawet jakby stał się życzliwszy. Już nie skąpił mi owych kradzieżówek, sam je przysyłał przez gońca, a moje kawałki do „Expressu" rzadziej dyskwalifikował.

Któregoś dnia wezwał mnie telefonicznie.

— Wejdź pan do mnie, panie Kiepura.

Wszedłem pełen obaw. A on podał mi jakiś kawałek z agencji.

— Pan to zaadiustuje.

Poprawiłem, skróciłem. Przeczytał, naniósł poprawki, podyktował mi kilka zdań wstępu i puścił do „Republiki" z moją literką na dole. I odtąd coraz częściej wzywał mnie do siebie. Dużo, oj, dużo nauczyłem się u niego. Dobra to była szkoła. Jeśli potrafię dzisiaj zaadiustować materiał, zawdzięczam to w znacznej mierze redaktorowi Górskiemu. Tępił wodolejstwo, a szczególnie wybrzydzał przede mną na teksty Rawicza.

— Niech pan go uważnie czyta, panie Kiepura. Bardzo uważnie. Ale niech pan pisze inaczej.

Z przygotowywanego do druku zbioru opowiadań pt.: „REPORTER PRZED KONFESJONAŁEM", czyli jak przed wojną robiło się w Łodzi gazetę.

EWA NURCZYŃSKA

„Konfrontacje 70"

Zestaw filmów tegorocznych Konfrontacji przyjęto u progu imprezy z pewną rezerwą. Niewątpliwie brakowało w nim zwłaszcza tych filmów zrealizowanych na Zachodzie, które byłyby świadectwem fali politycznej, społecznej i obyczajowej kontestacji, a które niejako określają oblicze współczesnej zachodniej kinematografii. Chciałoby się też oglądać na Konfrontacjach naprawdę najwybitniejsze, najgłośniejsze filmy minionego sezonu. Zmiana szyldu Festiwalu Festiwali Filmowych na Konfrontacje, potencjalnie dawała imprezie, w obliczu ogólnego kryzysu festiwali, szanse częstokroć ciekawsze. Przy wyborze bardziej reprezentatywnym możność obejrzenia filmów szczególnie dyskutowanych, filmów, które przy tym często wcale, a często z dużym opóźnieniem trafiają na nasze ekrany, byłaby wowczas dla wielu miłosników sztuki kina okazją prawdziwej konfrontacji aktualnych poszukiwań i osiągnięć światowego filmu, a także obejrzenia tych filmów, które z różnych powodów nie znajdą się na liście pozycji, przeznaczonych do ogólnego rozpowszechniania.

Wiadomo, że zdobycie filmów na Konfrontacje nie jest rzeczą prostą. Łódzki zestaw zubożony był na przykład w tym roku brakiem filmów „Kowboj o północy" J. Schlesingera i „Kes" Loacha, gdyż producenci wyrazili zgodę wyłącznie na ich prezentację w Warszawie. Troska o to, by Konfrontacje legitymowały się szczególnie starannym doborem filmów, biorącym pod uwagę zarówno ich reprezentatywny dla produkcji światowej charakter jak i ich przyszłe losy na polskich ekranach, wydaje się sprawą dla studyjnego oblicza Konfrontacji bardzo istotną.

W świetle tych uwag tegoroczne Konfrontacje, a zwłaszcza ich łodzka wersja (dołączenie „Isadory" wydaje się zupełnym nieporozumieniem), są właściwie premierą tych filmów w naszym kraju tyle, że wyprzedzającą o kilka miesięcy szerokie rozpowszechnianie.

Połowę repertuaru Konfrontacji stanowiły w tym roku filmy obozu socjalistycznego i ten fakt decydował chyba o tym, iż imprezę powitano z pewną rezerwą, uważając, iż najciekawszych propozycji filmowych można było oczekiwać głównie z Zachodu. Ci, którzy nie pogardzili rumuńską „Rekonstrukcją", węgierskimi „Sokołami", jugosłowiańskimi „Kajdankami" i polską „Dziurą w ziemi", przeżyli dużą niespodziankę. Spotkali się z filmami dojrzałymi intelektualnie i artystycznie, będącymi wyrazem postaw zaangażowanych.

W „Sokołach" I. Gaala nasze doświadczenia historyczne każą odnaleźć w obrazach przemocy i zabijania sferę aluzji do ideologii faszyzmu z jego terrorem, pogardą dla jednostki, mechanizmem działania i zbrodnią. Osadzone w określonym historycznie kontekście „Kajdanki" K. Papicza atakują surowym obrazem deprawacji moralnej. Film ten wychodzi poza krąg rozrachunków wyłącznie narodowych. „Rekonstrukcja" L. Pintilliie stanowiąc, moim zdaniem, czołówkę tegorocznych konfrontacyjnych konkurencji, przynosi jeden z najbardziej przejmujących głosów sprzeciwu wobec ideologicznych frazesów, na które brak pokrycia w społecznym działaniu. Twórca „Rekonstrukcji" znalazł dla sensu swego filmu idealny kształt formalny. Zło nie musi być manifestacyjnie oczywiste, może tkwić w pokładach ładu i porządku, co gorsza, w układach dobrej ludzkiej woli. Za kulisami pozorów rodzi się jednak zło, wynik godzenia się na lenistwo myślowe, na wygodę akceptacji okoliczności, w których dostrzega się czasem bezsens, lecz przyjmuje z nawyku i niechęci działania. W tych sytuacjach frazes ideowo-wychowawczy przychodzi z pomocą, przeciw niemu Rumun zrealizował swój znakomity film.

„Dziura w ziemi" A. Kondratiuka i peruwiańska „Zielona ściana" A. Godoya w kontekście wyżej wspomnianych filmów i tych, które reprezentują produkcję Zachodu, były właściwie jedynymi akcentami optymizmu, wiary w człowieka i jego pracowite działanie. „Zielona ściana", poza dużą i piękną porcją egzotyki przyniosła niezwykle interesujące propozycje formalne. Ten bardzo nierowny film, oscylujący między melodramatem, dokumentem socjologicznym i groteską widoczną w partiach poświęconych obrazom peruwiańskiej (?) biurokracji, zaskakiwał dojrzałością konstrukcji dramaturgicznej i niezwykłym w dziejach kina, odkrywczym operowaniem tzw. planów bliskich, a zwłaszcza detali, dzięki którym uzyskano niezwykłe efekty narracyjne i ekspresyjne.

Znakomitość warsztatowa była wizytówką wszystkich pozostałych filmów Konfrontacji, w niektórych przypadkach ona była główną ich wartością. Banalne „Okruchy życia" C. Sauleta musiały rozczarować, choć przyszły do nas obdarowane cenioną nagrodą im. L. Deluca. Melodramatyczności tekstu literackiego nie uratował przekład na piękne obrazy filmowe ani kunsztowna narracja, która spaja rozsypane na różne płaszczyzny czasowe i różne punkty widzenia dzieje bohaterów filmu. Wspaniała finałowa sekwencja katastrofy, która pojawia się w okruchach wielokrotnie, jest przypieczętowaniem formalnej doskonałości filmu Sauleta.

Formalna biegłość będzie również wyróżnikiem filmu Jerzego Skolimowskiego „Na samym dnie". Skolimowski filmem tym udowadnia, iż posiadł w pełni tajniki współczesnego kina. Jest filmowcem światowym, dalekim terminatorskim wysiłkom wielu swych polskich kolegów „po kamerze". W jego nowym filmie przedstawiającym smutne dzieje miłości młodego chłopaka do starszej od siebie dziewczyny, odnajdujemy wiele pięknych nasyconych bądź liryzmem, bądź komizmem i ironią scen. Najmocniejszą stroną filmu jest umiejętność organizowania mikrosytuacji, składających się na przeraźliwie smutny obraz życia londyńskiego East End z jednej strony i świata przeżyć młodocianego bohatera z drugiej. Całość pozostawia jednak uczucie niedosytu, którego przyczyną główną jest zapewne zgubienie prawdy o młodzieńczych uczuciach na rzecz obsesji, zgubienie bohatera na rzecz efektownego finału opowieści.

Włoski „Dramat zazdrości" E. Scoli był w tegorocznym zestawie jeszcze jednym przykładem nie kończących się możliwości kina, które wyrósłszy z funkcji zwykłego opowiadacza fabuł, prowadzić zaczyna ze swymi odbiorcami grę, w której nie tylko sens przestaje być jednoznaczny, ale i jej reguły stawiają nas w obliczu coraz to nowych niespodzianek. „Dramat zazdrości", nie określony ani gatunkowo, ani stylistycznie, jest zarówno komedią charakterów jak i populistyczna komedią obyczajową o pojawiających się akcentach satyry społecznej, jest kpiną ze wszystkich mód kina, jest wreszcie propozycją nowoczesnej tragikomedii filmowej.

„Czyż nie zabija się koni?" S. Pollacka — to film o Ameryce, który tylko w Ameryce mógł powstać. W znakomicie dramaturgicznie skonstruowanej i wypełnionej bogactwem realiów opowieści, w atmosferze napięcia, częstokroć przekraczającego granice ludzkiej wytrzymałości, dokonano rozrachunku z tym, co bynajmniej nie jest przeszłością. Aktualny w swej ogólnej wymowie jest również film F. Rosiego „Ludzie przeciwko sobie". Krwawy epizod z I wojny światowej służy włoskiemu twórcy w jego gorzkich obrachunkach z przeszłością narodową.

To, z konieczności pobieżne, spojrzenie na propozycje tegorocznych Konfrontacji ujawnia jednakże, iż poza nielicznymi wyjątkami, mieliśmy okazję spotkać się z filmami, które łączy jeden wspólny rys — dotykały spraw ważnych dla nas wszystkich, były wyrazem głębokiej troski twórców o oblicze współczesnego świata, o miejsce w nim człowieka. Konfrontacje tegoroczne były przeglądem filmów poważnych, powrócimy do nich zapewne niedługo.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ BOGDA MADEJ — W co się bawić?

★ JÓZEF MARCZAK — Łódzkie włókniarki

★ KAROL BADZIAK — Tam gdzie diabeł mówi dobranoc

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

T-O OBIEKTYW

FELIETON NA „NIE"

Dziś zasiadam do T-O nastawiony „na nie".

Z dużym pietyzmem przystąpiono do prac nad adaptacją telewizyjną „Poletka Pana Boga", powieści Erskine'a Caldwella, która w późnych latach pięćdziesiątych była jako bestseller na naszym rynku wydawniczym rozkupiona błyskawicznie i bodajże nie wznawiana. W prasie ukazały się przed ekranizacją telewizyjną liczne informacje i reportaże z planu. Nic dziwnego, że oczekiwaliśmy wszyscy na premierę w napięciu.

I co? Z dużej chmury mały deszcz. Burza przeszła bokiem. Otrzymaliśmy dość nieudolny przekaz fabularny, w którym, kogo jak kogo, ale Caldwella nie było. To bardzo specyficzna literatura, pełna mrocznego erotyzmu i okrucieństwa, ascetyczna i równocześnie piawiąca się w naturaliźmie.

Pisarstwo Caldwella pozostaje pod wpływem behawiorystycznej szkoły psychologicznej. Głosiła ona niemożność odkrywania psychiki człowieka drogą introspekcji. Struktura wewnętrzna każdego z nas jest bowiem złożona i dynamiczna. Jej manifestacje zewnętrzne uwarunkowane są środowiskiem i działającymi na nią bodźcami. Jesteśmy więc w stanie badać tylko działania ludzkie, będące projekcją wpływu środowiska i bodźców na osobowość.

Proszę mi wybaczyć ten z konieczności uproszczony „wykład" behawioryzmu. Potrzebny mi jest on jednak dla stwierdzenia, że właśnie w pisarstwie Caldwella (jak i wielu innych pisarzy amerykańskich startujących w okresie międzywojennym) brak charakterystyk postaci. Ukazują się nam one tylko w działaniu, w różnorodnym zachowaniu się i reakcjach na bodźce zewnętrzne. Dopiero obserwując bohaterów na tle gęstymi farbami namalowanego środowiska, możemy wyciągać pewne wnioski co do ich osobowości.

Daremnie szukałem tych cech „Poletka Pana Boga" w jego telewizyjnej odbitce. Klimat powieści wyparował bez reszty. Pozostał erotyzm i ciemnota jako jedyne umotywowanie działania bohaterów. W dodatku erotyzm w wydaniu Ewy Wiśniewskiej (Gryzelda) był zimny, nie — caldwellowski, a prezentowany przez Ireneusza Kanickiego (jednocześnie reżyser spektaklu) — groteskowy w nie zamierzony sposób. Sytuację próbował ratować na dobrą sprawę tylko Władysław Hańcza w roli Tay-Taya.

Po rozczarowaniu telewizyjnym „Poletkiem Pana Boga" oczekiwaliśmy niecierpliwie na ekranizację „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej, tego bestselleru polskiego od prawie czterdziestu lat. Widowisko przygotowano w ramach. Sceny Prozy w oparciu o pierwszy tom powieści pt. „Bogumił i Barbara".

Sprawozdawca „Życia Warszawy" napisał w związku z premiera m. in.: „... ta poniedziałkowa próba udowodniła, czym może być i czym powinien być w Scenie Prozy — Narrator (w tej roli wystąpiła tym razem HALINA MIKOŁAJSKA), który nie tylko spełnia funkcję łącznika między poszczególnymi scenami, ale także przekazuje nastrój powieści, podkreśla — tak właśnie, jak w tym przypadku — jej epicki charakter".

Zgadzam się z powyższymi uwagami w sensie abstrakcyjnym. Nie zgadzam — w zastosowaniu do konkretnego przypadku telewizyjnego „Bogumiła i Barbary". Jestem wielkim admiratorem talentu aktorskiego Haliny Mikołajskiej niemniej jednak uważam, że tym razem artystka zaciążyła negatywnie na widowisku. Jej sugestywność i przeżywanie tekstu stawiało pod znakiem zapytania potrzebę uzupełniania jej wystąpień scenami dramatycznymi. Aktorka przesłoniła swoją osobowością całą resztę. Było w tym coś z niemodnego dziś gwiazdorstwa, które za cel główny stawia sobie eksponowanie siebie i zepchnięcie współpartnerów do roli komparsów.

Ażeby utrzymać się w tonacji felietonu „na nie", dodam jeszcze, że nie podobał mi się pomysł uświetnienia Dnia Kobiet zapowiadaniem programu przez znanych artystów i przez (?) Bohdana Tomaszewskiego. Aktorzy źle się chyba czuli w tej roli i wypadli słabiej od uprawiających ją na co dzień spikerów.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„INCYDENT", amerykański film w reżyserii Larry Peerce'a należałoby uznać za lekturę obowiązkową dla wszystkich dorosłych obywateli naszego kraju. Ten dramat psychologiczny, osadzony mocno w realiach współczesnej Ameryki, notujący chorobę społeczną, charakterystyczną w odczuciu realizatorów filmu dla ich kraju, jest filmem o chorobie, która toczy chyba wszystkie społeczeństwa cywilizowanego świata.

Metro nowojorskie o drugiej nad ranem. W jednym z przedziałów pociągu zbierają się przygodni pasażerowie, wracający do domów. W znakomitej ekspozycji poznajemy w poszczególnych epizodach ich osobiste sprawy. Wszyscy obdarzeni własnymi, najczęściej smutnymi problemami, zgorzkniali, wzięci z tłumu bohaterowie, spotkali się w przedziale metra, stanowiąc nieświadomie reprezentację społeczeństwa. Do tego samego wagonu wsiadają dwaj chuligani, którzy w szybkim czasie, stając się panami sytuacji, terroryzują współtowarzyszy podróży.

„Incydent" Peerce'a nie jest jednakże filmem podejmującym wyłącznie problem chuligaństwa czy bandytyzmu. Uosabiający największe zło chuligani i ich gangsterskie poczynania stają się czynnikiem sprawczym demaskacji postaw wszystkich spokojnych i porządnych obywateli, których przypadek wciągnął w tą straszliwą przygodę w metrze. Owa oczywista na początku akcji opozycja świata przestępstwa i praworządności w miarę rozwoju zdarzeń traci swą jednoznaczność — gra terroru, łącząc się z narzuconą pasażerom grą prawdy zdziera stopniowo maski z tych, którzy mienią się ludźmi uczciwymi, odsłaniając bezmiar podłości, tchórzostwa i egoizmu.

„Incydent" jest znakomitym przykładem wielkiej publicystyki, dokonującej wnikliwej analizy zjawiska, które u nas określa się mianem znieczulicy społecznej. Po odrzuceniu pewnych, typowych dla Ameryki realiów obyczajowych czy społecznych, takich jak na przykład kwestia murzyńska, odnajdujemy w tym filmie sprawy, określające również i nasze problemy życia społecznego. Jeśli film Peerce'a określimy mianem publicystyki, to dodać musimy, że siła jej oddziaływania leży nie tylko we wnikliwych obserwacjach i diagnozach społeczno-moralnych, ale w jej kształcie artystycznym. Znakomicie skonstruowany dramaturgicznie „Incydent" jest filmem, w którym tworzenie napięcia dramatycznego uznali twórcy za siłę swej argumentacji. Peerce jest bezlitosny, każe patrzeć do końca, i wówczas, gdy wydaje się nam, że wreszcie ów koszar prawdy się skończył, że coś musi się zmienić, pokazuje nam na powrót ludzi, których nie ten najdramatyczniejszy epizod ich życia nie nauczył. Odchodzą spokojni, uwolnieni, szczęśliwi, że mogą powrócić do swej maski, do swej przeciętności. Jest to ostatni, najmocniejszy akcent, którym twórcy pragną zburzyć spokój sumienia tych, którzy ich film będą oglądać.

★

Wychowawczymi intencjami obdarowali również swój film pt. „KTO WIERZY W BOCIANY?" H. Amiradżibii i J. S. Stawiński. Oglądany po „Incydencie" śmieszy swym prymitywizmem i naiwnością. Bohaterami filmu uczynili polscy realizatorzy dorastających nastolatków z ich młodzieńczymi problemami nauki, pracy, miłości.

Realizację intencji twórców filmu „Kto wierzy w bociany?" możemy sobie wyobrazić nawet nie oglądając filmu, gdy przeczytamy fragment ich wypowiedzi na temat przygotowywanego filmu. W 32 numerze „Filmu" z 1970 roku pani Amiradżibi i pan Stawiński powiedzieli: „Będzie to dramat dydaktyczno-instruktażowy (sic!) o obsesyjnej miłości chłopca do dziewczyny". Litości! Któż z nas może sobie wyobrazić dramat dydaktyczno-instruktażowy, instruujący w dodatku" o obsesyjnej miłości"? Dalej, pełni optymizmu twórcy mówią: „Chcemy przemycić dydaktykę i instruktaż (sic!) pod powłoką wartkich wydarzeń, tak, aby widz się nie spostrzegł, że go pouczają, by pozostał do końca na sali i nie zapadł w drzemkę, żeby nawet nie za bardzo kaszlał i trzeszczał krzesłem".

Jeśli już takie cele twórca sobie z góry musi założyć, myśleć o nich stale jak o podstawowych swych zamiarach, to możemy być pewni, że mu się to nie uda. No, i oczywiście, na „Kto wierzy w bociany?" kaszlemy i trzeszczymy krzesłami, czujemy, że nas pouczają, ale jednak nie drzemiemy. Nie drzemiemy zaś dlatego, że biorą nas diabli na całą tę bzdurę, którą nam się pokazuje, na nieprawdę bohaterów i ich przeżyć, na nieprawdę świata ich otaczającego, na tani dydaktyzm, a „instruktaż obsesyjnej miłości" nie przemawia nam do przekonania. Biorą nas diabli, gdy myślimy o pieniądzach, które w ten film włożono, nie zwrócą się na pewno, gdyż na domiar złego jest to film bez adresata, a wykpią go i młodzi i dorośli. Jak długo jeszcze każe nam się takie filmy oglądać?

E. N.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SISLEY

Alfred Sisley jest jednym z najmniej znanych impresjonistów, choć być może nie ustępuje talentem takim swym sławnym kolegom jak Renoir, Monet czy Pissaro. Niemal wszyscy impresjoniści dobijali się uznania i sławy z trudem, wśród szyderstw krytyki, pogardy i niezrozumienia publiczności, często żyjąc w nędzy. Ale bieda Sisleya była chyba najcięższa, a brak uznania dla jego twórczości udziałem niemal całego jego życia.

Alfred Sisley urodził się w Paryżu. Jego rodzicami byli Angielka i Anglik na stałe zamieszkali we Francji. Ojciec, zamożny handlowiec, marzył o takiejż karierze dla syna, toteż wysyła młodego Alfreda do Anglii by tam uczył się zawodu. Ale osiemnastoletni Alfred nie chce słyszeć o żadnym zawodzie prócz jednego — chce zostać malarzem. Wraca do Paryża i zapisuje się do pracowni Gleyre'a. Uczęszczają tam Renoir, Bazille, Monet. Ale wkrótce Monet stwierdzi, że atmosfera w pracowni jest niezdrowa, że „brak tu szczerości" i cała czwórka opuszcza atelier by podjąć próby malowania po swojemu.

Nadciągają ważne wydarzenia 1870 roku. W życiu Sisleya jest to rok, który przynosi mu katastrofę, bowiem ojciec traci cały swój majątek. Alfred Sisley, który przed tym mógł się poświęcać pracy twórczej, korzystając z pomocy finansowej ojca, będzie odtąd musiał sam zarabiać na życie. I Sisley, który już poprzednio założył rodzinę, próbuje żyć z malarstwa, sprzedawać swoje obrazy. Wraz z Renoirem chodzi w plener. Sisley zanosi potem swoje pejzaże do jednego z antykwariuszy, który kupuje je za śmiesznie niską cenę i odsprzedaje jako obrazy Teodora Rousseau.

Około roku 1872 w tej nędznej egzystencji Sisleya zaznacza się lekka poprawa. Oto marszand Paul Durand-Ruel „postawił" na impresjonistów. Sam ma niewielkie możliwości kupowania obrazów, których nikt nie nabywa, ale Durand-Ruel robi propagandę tego malarstwa najpierw we Francji, potem w Ameryce. Jemu to w znacznej mierze zawdzięczać będą impresjoniści swą przyszłą sławę i pełne uznanie. Dzięki niemu wielu z nich może przynajmniej przetrwać okres niepowodzeń. Nie jest też przypadkiem, że obecna wystawa retrospektywna Sisleya odbywa się w galerii Durand-Ruel, wnuka Paula.

Sisley trudno wytrzymywał ciężkie warunki życia, odludek i milczek niewielu miał przyjaciół, a tych nawet co miał zrażał czasem do siebie. Borykał się z trudem z nędzą, w którą popadł, niełatwo przystosowując się do warunków jakie stawiało przed nim życie i ustawiczna walka o byt. Tym bardziej zaskakuje jasne, słoneczne malarstwo tego zgnębionego człowieka. Malował pogodne, rozświetlone słońcem krajobrazy, miłował się w lekkich jasnych chmurkach, ze specjalnym upodobaniem przenosił na swe płótna błękit nieba, wiadukty, stare kościoły, polne ścieżki, leśne dukty, domy nad spokojną rzeką, drzewa odbijające się w pomarszczonej wodzie, kwiaty i łąki, pagórki i śnieżne krajobrazy z ciemnymi konturami drzew, stare młyny. Z mistrzostwem chwytał grę świateł, cudownie potrafił oddać przejrzystość powietrza, subtelne odcienie zieleni, przejścia świateł w cienie, błyski na wodzie. Wyborem tematu i swą techniką zbliża się do Pissara, Renoira, zwłaszcza Moneta, czasem przypomina Corota, lecz — jak twierdzą znawcy — różni się od swych kolegów impresjonistów znacznie większą subtelnością wyczucia barw i światła.

Zmarł w biedzie, na raka, w styczniu 1899 roku. Dopiero po śmierci zaczęto się interesować jego twórczością. Po dwudziestu zaś latach ukazała się pierwsza w druku praca o Sisleyu.

Sisley: „Kościół w Moret"

„KRUGOZOR" O MUZYCE MONGOLII

Ostatni, drugi numer z tego roku, radzieckiego miesięcznika dźwiękowego przynosi sporo materiału o życiu artystycznym Mongolskiej Republiki Ludowej. Przypomnijmy, że w roku bieżącym przypada pięćdziesiąta rocznica powstania Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej.

W części tekstowej „Krugozora" czytamy wywiad o życiu teatralno-muzycznym w MRL, przeprowadzony z ludową artystką Mongolskiej Republiki Ludowej, E. Ojuun. W części dźwiękowej zamieszczono muzykę Mongolii, jak fragmenty pieśni ludowych, fragmenty ludowej opery mongolskiej i inne utwory muzyczne. Ponadto jedna strona innej płyty zawiera nagrania śpiewu dwóch młodych mongolskich śpiewaczek: Cecgee i Rencenchand. Pierwsza ma 20 lat, a jej ojciec jest ekonomistą. Cecgee jest studentką Instytutu Pedagogicznego. Rencenchand ma 24 lata, jest córką kolejarza i tkaczki. Ukończyła uniwersytet w Ułan-Bator. Dziewczęta śpiewają pieśni napisane przez kompozytorów mongolskich, a oparte na starych motywach ludowych.

WYSTAWA FOLKLORU TURECKIEGO

Po wystawie folkloru macedońskiego Paryż obecnie ma okazję do zaznajomienia się z ludowymi strojami tureckimi. Zwiedzający wystawę tych strojów mogą łatwo dostrzec pewne podobieństwa motywów do ludowej sztuki macedońskiej, gdyż jak wiadomo, w Macedonii zaznaczały się m.in. wpływy tureckie. Ale różnice są znaczne. Warto na początku powiedzieć kilka słów o historii zorganizowania tej wystawy.

Otóż zbiór eksponatów jest dziełem pani Sabihy Tansug, urodzonej w Turcji. Według jej własnych słów pasjonowała się ona od dziecka strojami ludowymi swego kraju. W ciągu wielu lat kupowała w różnych stronach Turcji stroje. Obecnie ta kolekcja jest pokazana w Paryżu. Wiele z eksponatów — to ubiory do dziś dnia noszone w tureckich wsiach.

Na ogół w Europie mało znane są stroje tureckie, zwłaszcza ich niezwykłe bogactwo barw. Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy niemal szczegół takiego stroju posiada swoje odrębne znaczenie. I tak np. przybranie głowy kobiety, zależnie od jego rodzaju stanowi specyficzną informację. Znaczenie ma tu tak zwana yazma. Jest to kawałek materiału w formie kwadratu przypiętego do właściwego nakrycia kobiecej głowy. Otóż młode dziewczynki nie noszą w ogóle yazmy, panny na wydaniu noszą yazmę białą, zaś kobiety zamężne zasłaniają yazmą twarz. Inne znaczenie ma koronka podtrzymująca uczesanie tzw. oya. Kobieta która nosi zieloną oyę jest szczęśliwą w małżeństwie, ale jeśli oya zawiera motywy koloru czerwonego — niechże małżonek uważa. Taka oya oznacza, że jej właścicielka nie jest zadowolona z męża.

Stroje tureckie są obficie haftowane, przy czym motywami są tu głównie kwiaty i owoce.

Wystawa pokazała ponadto artystycznie wykonane przedmioty codziennego użytku jak drewniane fajki, rozmaite barwne pasy, trzewiki ozdobione masą perłową itp.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

BIBLIOTEKI ŁODZI

TYSIĄC PUBLICZNYCH KSIĘGOZBIORÓW — W SPRAWIE POROZUMIENIA — MINI-BIBLIOTEKI — OBIEKTYWNY DOKUMENT ROZDŹWIĘKU — 6 MILIONÓW KSIĄŻEK — POTRZEBNA ANALIZA SYTUACJI BIBLIOTEK

Wszelkiego rodzaju informatory to bardzo pouczająca, a nieraz i wprost pasjonująca lektura. Tak się rzecz ma z informatorem „Biblioteki Łodzi", wydanym niedawno przez Wydział Kultury, Stowarzyszenie Bibliotekarzy oraz Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki.

Nie uwierzycie — mamy w Łodzi 817 publicznych bibliotek! To znaczy tyle zanotowano w informatorze. Jednocześnie zaznaczono we wstępie, że to nie wszystko, że ze względu na trudności w uzyskaniu pełnych danych nie skatalogowano bibliotek szkół podstawowych, parafialnych i zakonnych, niektórych przedsiębiorstw i urzędów itp. „Orientacyjnie — piszą autorzy informatora — ilość bibliotek pominiętych należy ocenić na około 200 placówek". A więc w sumie mamy w Łodzi ponad 1000 bibliotek publicznych! Ale nie wpadajmy w entuzjazm. W tej bardzo solidnej pracy ujęto wszystkie i s t n i e j ą c e biblioteki, co oczywiście nie znaczy, że są to biblioteki efektywnie d z i a ł a j ą c e. Księgozbiory wielu z tych placówek legitymują się ilością 500—900 egzemplarzy, a zakres zbiorów to „literatura piękna i popularnonaukowa". Czyli wszystko. Są oczywiście biblioteki o niewielkiej ilości tomów, ale ograniczające zbiory do jednego, ściśle specjalistycznego zagadnienia. I to na pewno są biblioteki potrzebne i mające sens. Ale te wszystkie mini-zbiory kompletowane na zasadzie „co podleci"?

Nie ma więc powodu, aby się zbytnio entuzjazmować stosunkowo wysoką liczbą publicznych bibliotek — zwłaszcza, że informator dowodzi, iż tych mini-zbiorów jest raczej dużo. Może więc warto się zastanowić nad połączeniem niektórych zbiorów w większe biblioteki o większej możliwości wyboru? Bo, dla przykładu — jeśli założona prawie 20 lat temu biblioteka pewnej instytucji nie „dobiła" jeszcze do tysiąca egzemplarzy, jeśli biblioteka innego przedsiębiorstwa istniejąca od 1949 roku ma dziś zaledwie 800 książek... Nie są to żadne zbiory specjalistyczne, lecz literatura piękna, jaka więc szansa na znalezienie tam nowości, jaka szansa zaspokojenia rosnących wymagań czytelniczych? A poza tym tego rodzaju biblioteki są — jak wynika z informatora — placówkami zamkniętymi, przeznaczonymi tylko dla ścisłego grona pracowników. Ale to już osobny problem.

W swoim czasie pisałem zarówno na łamach „Odgłosów" jak i w miesięczniku „Kultura i Ty", że nie realizuje się w Łodzi porozumienia między CRZZ a Ministerstwem Kultury między innymi w sprawie udostępniania bibliotek zakładowych ogółowi mieszkańców. Porozumienie zawarto przed paroma laty i oto informator wydany w roku 1970 dokumentuje rzeczywistość daleką od ustaleń i zaleceń na wysokim szczeblu.

Oto dział „biblioteki związków zawodowych". Na 160 odnotowanych tu placówek zaledwie... dwadzieścia udostępnia swe zbiory wszystkim zainteresowanym. Wśród tej dwudziestki przeważają zresztą biblioteki międzyzakładowych domów kultury. Tylko niektóre fabryki i instytucje realizują w praktyce porozumienie między CRZZ a Ministerstwem Kultury — warto więc wymienić choćby Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowionego, Południowo-Łódzkie Zakłady Przemysłu Jedwabniczego, ZPB im. 1 Maja, Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka... Jest więc informator także swoistym, obiektywnym dokumentem rozdźwięku między teorią a praktyką w działalności kulturalno-oświatowej.

Wróćmy jednak do informatora. Z pobieżnych obliczeń wynika, że w publicznych bibliotekach Łodzi znajduje się — lekko licząc — 6 milionów książek. Jest to gigantyczny księgozbiór, który może być słuszną dumą miasta, liczącego przecież 750 tysięcy mieszkańców. A jednakże studiując informator można czasem odnieść wrażenie, że ta Wielka Biblioteka nie zawsze jest we właściwy sposób wykorzystana. Myślę, że cenna publikacja opracowana pod kierownictwem Cecylii Dunin-Horkawicz, może posłużyć jako punkt wyjścia do analizy sytuacji łódzkich bibliotek.

JERZY WIDOK

Bez strachu

SNY

Można jako tako opędzić się od trwogi dnia, ale co począć ze zmorą lęków sennych, lęków, jak się wydaje, niepodległych bezpośredniej analizie, lęków, jak sądzimy, niezawinionych? Oto sen: znajomy aktor prosi mnie, bym go zastąpił przez jeden wieczór w bagatelnej sprawie — mam zagrać za niego Hamleta — on tymczasem tego wieczora odegra mnie — to znaczy będzie siedział zmęczony w kawiarni i gapił się w zadymioną przestrzeń. Zgodziłem się, tracąc wszelkie, konieczne nawet w halucynacjach sennych, proporcje. I oto w kostiumie, przy szpadzie stąpam po deskach sceny, po posadzkach zamku w Elsynorze. Otwierają kurtynę czy też rozsuwają bramę i oto przychodzą: król - widmo, król rzeczywisty, który też jest widmem (w kategoriach mojego snu), królowa-matka (z bardzo wydatnym biustem), Poloniusz, Ofelia (bardzo wiotka, w kwietnym wianku na głowie), Horacy (bardzo przyjazny i bardzo zasmucony) i inni, bardzo liczni inni, bardzo wielokształtni inni. Część innych jest z Szekspira, ale obok nich, czy za nimi, a nawet pod i nad nimi przemycają się inni inni, którzy wcale nie są z Szekspira, są tylko ze snu, a mimo to na serio biorą się do gry. Dowolnie zmieniają Mistrza Mistrzów — mają zbyt wiele do powiedzenia i zbyt wiele do milczenia. Byłem w sennej trwodze — nie znam przecież tej roli, zamiast Hamleta zagram Papkina, zresztą nie znam roli Papkina, nie znam w ogóle żadnej roli — i oto bełkocę bezradnie: „Być... być... być...", ale nie jestem, śnię się sam sobie bardzo trudno. Nikt nie dostrzega mojej niekompetencji, nie dopuszczają mnie do głosu — Hamleta grają wszyscy jednocześnie i zgiełkliwie. Hamletem jest król-widmo i król pozornie żyjący, Poloniusz i Horacy, królowa-matka i Ofelia są także Hamletem, oczywiście każda poszczególnym Hamletem — płeć nie zdołała ich powstrzymać i pokusiły się o tak atrakcyjną kreację. Tylko ja, Hamlet niejako legalny, (z poręki prawdziwego aktora) milczę i cofam się przed nimi, bełkocę, ciągle bełkocę: „Być... być... być..." i ciągle nie jestem. Oto wbiega na scenę bileter przypinając w biegu szpadę i strażak i dyrektor teatru. Kostiumują się szybko, grają z przejęciem i bezładnie. Hamleci fragmentaryczni, sceptyczni, liryczni, filozoficzni. Wpada na scenę i niejeden z widowni. Dyrektor teatru woła w momencie nagłej i uroczystej ciszy: „Oto nareszcie Szekspir najświętszy i żywy!" i zdradnie wykorzystując moment zaskoczenia, zaczyna grać Hamleta pierwszy, biegle trajkocząc, pośpiesznie umierając. Tylko ja ciągle się cofam z bezkształtnym bełkotem, umieram wreszcie nieudolną śmiercią...

To tylko pozorny koniec snu — trwa bowiem w jawie niedościgniona trwoga, trwoga niedostępna bezpośredniej analizie, trwoga, jak sądzę, niezawiniona...

BERNARD SZTAJNERT

LAWRENCE BURNE

Spotkanie z Marią

Zaparkowałem auto i wyszedłem na chodnik. Przed domem, którego szukałem, pracowało dwóch mężczyzn.

— Czy mieszka tu Fiorelli? — zapytałem.

— Fiorelli wyjechał na morze. — krzyknął jeden.

— Nie o niego chodzi. Muszę zobaczyć się z Anną Fiorelli i porozmawiać o jej siostrze Marii.

— Moja siostra mieszka na pierwszym piętrze. Czy pan pracuje dla Righiego?

— Nie znam go wcale.

Przebiegłem szybko wysokie schody. Z okna widać było port, barki i Alcatraz. W tej fortecy Righi przesiedział pięć lat.

Drzwi otworzyła mi Anna. — Mój mąż łowi ryby — rzekła. — Wróci dopiero w piątek rano.

— Chciałem zobaczyć się z panią, pomówić o Marii.

Strach przeciął jej twarz, cofnęła się do tyłu próbując zatrzasnąć drzwi. — Proszę mu powiedzieć, że nie wiem, gdzie jest Maria. Siostra nie chce już z nim mieszkać.

Patrzyła na mnie z wściekłością. — Mężczyzna, który się szanuje, przyszedłby osobiście, a nie przysyłał kogoś obcego dla zabrania żony.

— Nie przychodzę na zlecenie Righiego. Nazywam się John Chern. Sądzę, że Maria mówiła o mnie przed swym ślubem. Spotykaliśmy się dawniej dość często. To bardzo ważne, żebym ja odnalazł i porozmawiał nim pokaże się Righi. Marii grozi niebezpieczeństwo, mogą ją skrzywdzić.

— Czy pan chciał ją poślubić?

— Tak, przed dwoma laty.

Przyjrzała mi się uważnie. — Widziałam pańską twarz na fotografii. Proszę wejść.

Pokój był niedawno uprzątnięty. Na stole, przed kanapą, stała kwadratowa butelka z napisem „Gilbey", czara z kostkami lodu i dwa kieliszki.

— Napije się pan?

— Nie, dziękuję.

Anna wrzuciła kawałek lodu do kieliszka i napełniła go ginem.

— O" pani wie, gdzie jest Maria?

— Tego nikomu nie mogę powiedzieć. — Połknęła tyk dżinu.

— Proszę słuchać, Maria narobiła sobie kłopotów, dowiedziałem się o tym wczoraj. Righi może ją nawet zabić.

— Niech się sama o siebie troszczy. Czasem ją pobił, już nieraz uciekała. Poczekajmy, aż mu gniew przejdzie.

— Ale ona dawniej nie próbowała go szantażować!

Anna wybałuszyła oczy. — Ostrzegałam ją! Nie zna się na niektórych sprawach i niepotrzebnie się wtrąca. Dam panu jej adres. Mieszka w Oakland.

Podeszła do szafy, otworzyła dolną szufladę i wyjęła książkę z adresami.

— Dziesiąta ulica, numer 23, mieszkania 12. Przyjęła nazwisko Ruth Perry. Ale co pan ma do tego wszystkiego?

— Nie zapomina się osoby, którą się miało poślubić. W każdym razie nie ja.

Udałem się pod wskazany adres. Maria mieszkała w dzielnicy robotniczej. Zaparkowałem auto w cieniu drzew. Przed domem stał już zielony samochód, siedział w nim jakiś typ długi i szczupły. Przeszedłem obok.

Dom był stary i zniszczony. Na parterze znajdował się garaż i korytarz wejściowy. Pod dzwonkiem mieszkania 12 znalazłem nazwisko Ruth Perry i napis: dzwonek zepsuty. Kluczem od samochodu otworzyłem zamek drzwi. Wewnątrz uderzył mnie odór stęchlizny i płynu owadobójczego. Wokoło były rozrzucone kawałki papieru i inne śmieci.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Zapukałem cicho do drzwi. Skrzypienie starej, drewnianej podłogi a potem cisza. Ktoś stał za drzwiami i bał się poruszać.

— Czy panna Perry? — zapytałem.

— Tak, kto tam? — Głos Marii był zmieniony, czuło się w nim wahanie. Ciekawy byłem jak teraz wygląda, przestraszona i samotna. Nigdy nie widziałem jej w takiej sytuacji.

— Naczelny intendent, chciałbym z panią rozmawiać w sprawie remontu — rzekłem podnosząc głos o oktawę.

— Chwileczkę. — Słychać było stuk wysokich obcasów. Drzwi się otworzyły.

— Johnny! — krzyknęła Maria. Nawet blada i wyczerpana była fascynująca jak zawsze. To już nie dziewczyna, którą niegdyś chciałem poślubić, ale dojrzała kobieta w pełnym blasku urody.

— O Boże, Johnny! — Rzuciła się w moje ramiona i zaczęła histerycznie płakać.

Zaniosłem ją do pokoju, zamknąłem drzwi i całowałem jej usta zalane łzami.

— Powiedz mi, poza Anną czy ktoś wie jeszcze, że jesteś tutaj? — zapytałem.

— Johnny, uwolnij mnie od niego! Pete mnie zabije, zrobi to na pewno, Johnny!

Zadzwonił telefon. Maria zadrżała i odskoczyła od aparatu.

— Kto ma twój numer? Kto, prócz mnie dowiedział się, że tu jesteś?

Maria stała nieruchoma i blada.

— Mów, kto wie że tu jesteś? — zapytałem jeszcze raz i schwyciłem ją za rękę. Musiałem to wiedzieć.

— Tylko Florence, przypominasz ją sobie? To jest na pewno Pete. Odnalazł Florence.

Podniosłem słuchawkę. — Departament Finansów, mówi Gordon, czy mogę... rzekłem.

Z tamtej strony doszło głuche mruczenie a potem trzask widełek.

— Nie wiem, kto to był, może Righi. — Położyłem słuchawkę. — Mario, muszę wiedzieć, coś ty zrobiła, że go doprowadziłaś do takiego stanu. — Wciągnąłem ją do saloniku.

Podszedłem do okna i wskazałem zielone auto, które stało po drugiej stronie ulicy. — Powiedz mi, od jak dawna jest tam ten samochód? Tylko dziś, czy był też wczoraj?

— Od dwóch czy trzech dni chyba. Nie wiem, boję się wychodzić.

— Siedzi w nim mężczyzna wysoki i szczupły. Włosy ma czarne, kędzierzawe, siwe na skroniach.

— To jest Jim Haas, najemny zbir Righiego. Czyli już wiedzą, że mieszkam tutaj. Dlaczego nic dotąd nie zrobił? Jak myślisz, Johny, co dalej ze mną będzie?

— Najpierw opowiedz mi, co zaszło między wami, a później spróbuję wydobyć cię z kłopotów. Lecz muszę wszystko wiedzieć, każdy szczegół jest ważny, jeżeli chcesz ocalić swą szyję od pazurów Righiego.

Objąłem ją i pocałowałem. — Dlaczego zostałaś jego żoną?

— Nie powinnam była tego robić — dokończyła moje myśli.

— Początkowo było dobrze. Miałam dużo pieniędzy, eleganckie ubrania... Peter Righi dużo wydaje, gdy chce. To prawda, czasem mnie bił, lecz później przepraszał... Potem zakochał się w innej kobiecie. Była bardzo bogata... Pomyślałam więc, że muszę szukać opieki. Zaczęłam rozglądać się tu i tam. Łańcuch sprzedawców narkotyków, do którego należy Righi, ma jako wodza Waltera Carbo. Zawarcie przyjaźni z nim poszło łatwo. Sądziłam, że gdy znajdę dowody o jakichś zakupach narkotyków, będę mogła szantażować Righiego i otrzymywać stale pewną sumę rocznie, a nie czekać na jego dobry humor, jak dotąd.

— I teraz masz te informacje, których szukałaś. A Pete o tym wie, czy tak?

Maria bawiła się pudełkiem papierosów. Wyjęła dwa i jednego mi podała. W pookju wszystkie popielniczki były pełne.

Wciągała dym powoli. — Naturalnie, że mam informacje.

— Czy to zapisałaś?

— Nie, mam wszystko tutaj. Stuknęła się w głowę.

— To jest twój pierwszy błąd. Takie rzeczy trzeba zawsze przechowywać na piśmie.

Odsunąłem firanki w oknie i wyjrzałem na ulicę. Przybył tam jeszcze jeden wóz. Wyszedł z niego mężczyzna średniego wzrostu, czarnowłosy. Przeszedł obok zielonego samochodu. Poznałem Righiego. Prawdopodobnie gdy ja wchodziłem do domu, Haas zatelefonował do niego z drogerii, która znajdowała się na rogu. Teraz już wiem, z kim rozmawiałem. Righi chciał się przekonać, czy Haas powiedział prawdę.

— W zeszłym tygodniu Righi zakupił dwa ładunki kokainy od Waltera Carbo. Trzymam w pamięci nazwiska, daty i cyfry. Pete mi się już nie wymknie — stwierdziła Maria.

— Powinnaś była zapisać to albo powiedzieć komuś, moja droga. — Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie miałam czasu, poza tym bałam się, że mnie zabije, gdy o tym powiem komuś...

Spojrzała w okno. W tym momencie Haas wyszedł z samochodu i zamknął drzwiczki. Righi skierował się do bramy domu.

— Idą tutaj. Musisz teraz zdobyć się na odwagę, kochanie. Czyń to, co ci każę, a wyjdziemy stąd za pięć minut. Pójdę teraz na wyższe piętro. Gdy zadzwonią, otwórz drzwi i cofnij się krok w lewo. Ja zajdę ich od tyłu.

Wyśliznąłem się z pokoju i wszedłem na schody. Był już najwyższy czas. Otworzyli drzwi wejściowe i kierowali się na górę. Słychać było długie kroki Haasa w korytarzu, a potem na schodach. Posuwali się ostrożnie. Rozległ się dzwonek u drzwi Marii, potem usłyszałem jak się otworzyły. Stałem już za plecami mężczyzn. Wyciągnąłem pistolet z kabury wiszącej u mego pasa.

— Podnieście ręce do góry i załóżcie je na kark, szybko!

Zrobili to. Zamknąłem drzwi.

— Dobrze, teraz chodźcie do saloniku na rozmowę.

Maria szła przy moim boku. Drżała, była bardzo blada. Lecz z jej spojrzenia rozumiałem, że czuła się spokojna, miała do mnie zaufanie, wierzyła w moją obecność.

— Nie stój tak blisko mnie — rzekłem — bo mi ich zasłaniasz. Będziemy potem mieli jeszcze dużo czasu dla siebie, ile tylko będziesz chciała.

Righi stłumił w sobie okrzyk wściekłości. Ustawiłem ich przy ścianie i zrewidowałem. Haas miał w kieszeni pistolet. Righi tylko plastikowy grzebień. Nie nosił broni, pracowali dla niego inni.

— A teraz połóżcie się obaj twarzą do ziemi, trzymajcie ręce pod sobą. Nie ruszać się, bo strzelam. Nie chcę cię zabić, Pete. Zachowuj się dobrze, a wyjdziesz cało.

Stanąłem między nimi i uderzyłem każdego w kark lufą pistoletu. Haas próbował wstać, uderzyłem go jeszcze raz. Righi leżał jakby spał. Schowałem rewolwer do kabury. Z lewej kieszeni marynarki wyjąłem sprężynowy nóż. Nacisnąłem sprężynę i patrzyłem jak wyskoczyło lśniące ostrze.

— Pete chciał cię tylko przestraszyć, moja kochana — rzekłem powoli. — Postraszyć a potem zabrać z sobą. Nie życzył ci nic złego. Haas miał cię pilnować. Bo wiedzieli, że milczałabyś przez jakiś czas, lecz wcześniej czy później zaczęłabyś mówić. Kobieta tak zawsze czyni, niestety.

— Co? Co ty mówisz, Johnny!... — Zaczęła rozumieć. Twarz jej stężała z przerażenia, jeszcze nie mogła uwierzyć. — Chyba nie jesteś przysłany przez...

— Tak, ja się zaofiarowałem... Przychodzę na zlecenie Waltera Carbo... Współpracuję z nim...

Skoczyłem do przodu, Maria nie zdążyła krzyknąć...

Oprac. A. S.

Lewym okiem

KAWAŁEK ZWYKŁEGO DNIA

Już nieraz czytaliśmy w różnych pismach, przy różnych okazjach, jak wygląda dzień lub — częściej — tydzień dyrektora przedsiębiorstwa produkcyjnego. Znam te rzeczy z wieloletniej bliskiej obserwacji i podpisuję obiema rękami: taki dyrektor nie ma czasu na nic. Po prostu na nic. I nic nie może załatwić dobrze, to jasne.

Bywało też o dyrektorach zjednoczeń i central. Tu nie ma produkcji, tu jest zarządzanie jako takie. A raczej powinno być. W praktyce jest przeważnie nieustanne informowanie wszystkich o wszystkim i na tym wyczerpuje się wypchany po brzegi dzień dyrektora.

A jeszcze są w takich instytucjach kierownicy działów, o których nie czytaliśmy, bo co tam! Jest ich mrowie i wiadomo: piją herbatę, są zarozumiali i maltretują petentów zza niebotycznego biurka. Petenci częściej stykają się z kierownikami niż z dyrektorami, po prostu dlatego, że dyrektorów nie ma, a kierownicy muszą być. Dyrektorzy zjednoczeń bywają najwyżej na wieloosobowych konferencjach przeważnie nakazanych przez resort lub przynajmniej zaleconych (a to to samo) przez resort, gromią zza prezydialnego stołu dyrektorów z terenu, wytykają, zapowiadają, że to się musi skończyć, otwierają dyskusję i wychodzą na inną konferencję.

Więc może raz o dniu kierownika działu w instytucji na tyle nietypowej, że nie szuka sobie pracy, a ledwie nadąża z tą, która pcha się drzwiami i oknami? Bo i takie instytucje są, słowo daję! Więc tak:

Godzina 7. Praca zaczyna się o pół do ósmej, ale kierownik już jest, bo dyrektor zapowiedział wczoraj że będzie z nim rozmawiał z samego rana. Zupełnie wyjątkowa okazja i trzeba z niej skorzystać. Kierownik jeszcze raz przegląda sprawy do referowania, szereguje według ważności, odświeża sobie w pamięci. Potem o pół do ósmej lub kwadrans później dyrektor powie: niestety nie mogę, poproszę pana później, już zapisuję. To nie sekretarka zapisuje. Dyrektor nie pozwala rządzić sobą sekretarce, ona jest na dzwonek: proszę mnie połączyć z..., proszę herbatę, proszę wezwać naczelnika N., proszę mi to przepisać. Więcej absolutnie nic, przecież zaraz by poknocila!

Godzina 7.45. Odkłada się teczkę „do omówienia z dyrektorem". Referent przynosi do podpisu sprawozdanie. Jedna z jego liczb różni się od sprawozdania sprzed trzech dni, a powinna być identyczna. Dlaczego się różni?

Referent ma wszystkie podkładki, zrobił skrupulatnie co mógł. A liczby się różnią! Można było to ujawnić dopiero po zsumowaniu ogromnej ilości różnych papierków. Teraz szukanie przyczyny wymaga pięciu telefonów, do pięciu miast. Proszę zamówić telefony. Referent wychodzi.

Godzina 8. Referentka prosi o wyjaśnienie pewnego zdania z Monitora. Zdanie ma metr długości i raczej nie znaczy nic, ale zanim się to zrozumie, trzeba je przeczytać sto razy. Pani pójdzie do radcy prawnego.

Godzina 8.30. Dyrektor z terenu z wnioskiem o premię. Konieczny podpis kierownika, tak jest. Zadanie przecież nie wykonane. Ale, panie kolego, to zrobiliśmy z polecenia dyrektora, a to w uzgodnieniu z dyrektorem. Niestety, uzgodnienie, o którym dyrektor nie zdążył powiedzieć kierownikowi, jest sprzeczne z przepisami, więc chyba nieporozumienie. A może nie — może dyrektor tak właśnie chce? Ale go nie ma, a ten gość jechał całą noc ze Szczecina. To co — podpisać mu na słowo? Podpisujemy.

Godzina 9. Referent melduje, że telefonistka nie przyjęła zamówień na międzymiastowe, bo limit wyczerpany. Potrzebny podpis dyrektora. Dyrektora nie ma. Sprawozdanie musi czekać, albo przekreślamy liczbę wynikającą z dokumentów i wpisujemy taką, żeby pasowało. Podpisujemy.

Godzina 9.15. Referentka melduje, że radca prawny będzie pojutrze, bo jest na ćwierć etatu. Jeszcze raz studiujemy Monitora i osiem Monitorów związanych. Niech pani doda „w zasadzie". Czyli w zasadzie obowiązuje. Nikt nie będzie wiedział, co z tym zrobić? No pewnie.

Godzina 10.00. Konferencja z odbiorcami. Osiem osób, a trzy krzesła. Po kwadransie wszyscy jakoś siedzą, jeden — w szafie. Żmudne dochodzenie roszczeń. Telefon z Warszawy.

Kierownik nie może powiedzieć, że ma właśnie naradę. Telefon jest z resortu i żąda danych co do wykonania roku 1968 w cenach roku 71 poprawionych o wskaźnik roku 70 bez nowości.

Zdesperowany kierownik przyrzeka że przekaże w ciągu dnia. Mowy nie ma, ja tu czekam przy telefonie a na mnie czeka minister. Przerwa w naradzie. Kierownik z referentami przewracają szafy w poszukiwaniu jakiegokolwiek zaczepienia. Wszystko z rąk leci, panie dostają wypieków. Po kwadransie okazuje się na szczęście, że rozmowę rozłączono.

Godzina 10.30. Dzwoni Dyrektor, który nagle się znalazł gdzieś na parterze. Niech pan tu zaraz przyjdzie ze sprawą nie przyjętej korekty planu. Mam naradę... ba, już rozłączono.

Nie przyjętych korekt było tuzin. Kierownik zgarnia na wszelki wypadek tuzin segregatorów, jeden upada i rozsypuje się. Odbiorcy się niecierpliwią.

Godzina 11.00. Kierownik po powrocie rozdziela referentom prace, które mu właśnie zlecił dyrektor, a które muszą być wykonane do południa. W południe będzie minister. Minister musi wiedzieć, ile szelek granatowych w ciapki otrzymały w pierwszym kwartale roku ubiegłego poszczególne sklepy województwa łódzkiego, ile z tego zwróciły, ile zareklamowały i dlaczego.

Godzina 11.30. Telefon z Warszawy. Tamto wykonanie roku 68 w cenach roku 71 bez nowości już niepotrzebne, ale natychmiast musi być wykonanie roku 71 w cenach roku 68 z nowościami. Odbiorcy wkładają palta.

To jest dopiero część dnia. Dalej będzie jeszcze chodzenie kierownika po prośbie do maszynistek żeby przepisały, do kolegi żeby zaniósł pewne pismo bo etaty ważnych zlikwidowano, do gospodarczego po papier powielaczowy (skąd panu wezmę?). Jeszcze będą trzy telefony z Warszawy i dwa od dyrektora. Wezwę pana, pamiętam...

Jeszcze mógłbym tak bardzo długo. Szkoda, że nie mogę. Panowie naczelnicy i kierownicy: kto z was poznał siebie w tym obrazku? Proszę o pilne odpowiedzi. Oczywiście, mogą być anonimowe. Sprawa ważna — czekamy!

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. Zam. 514. S-5.